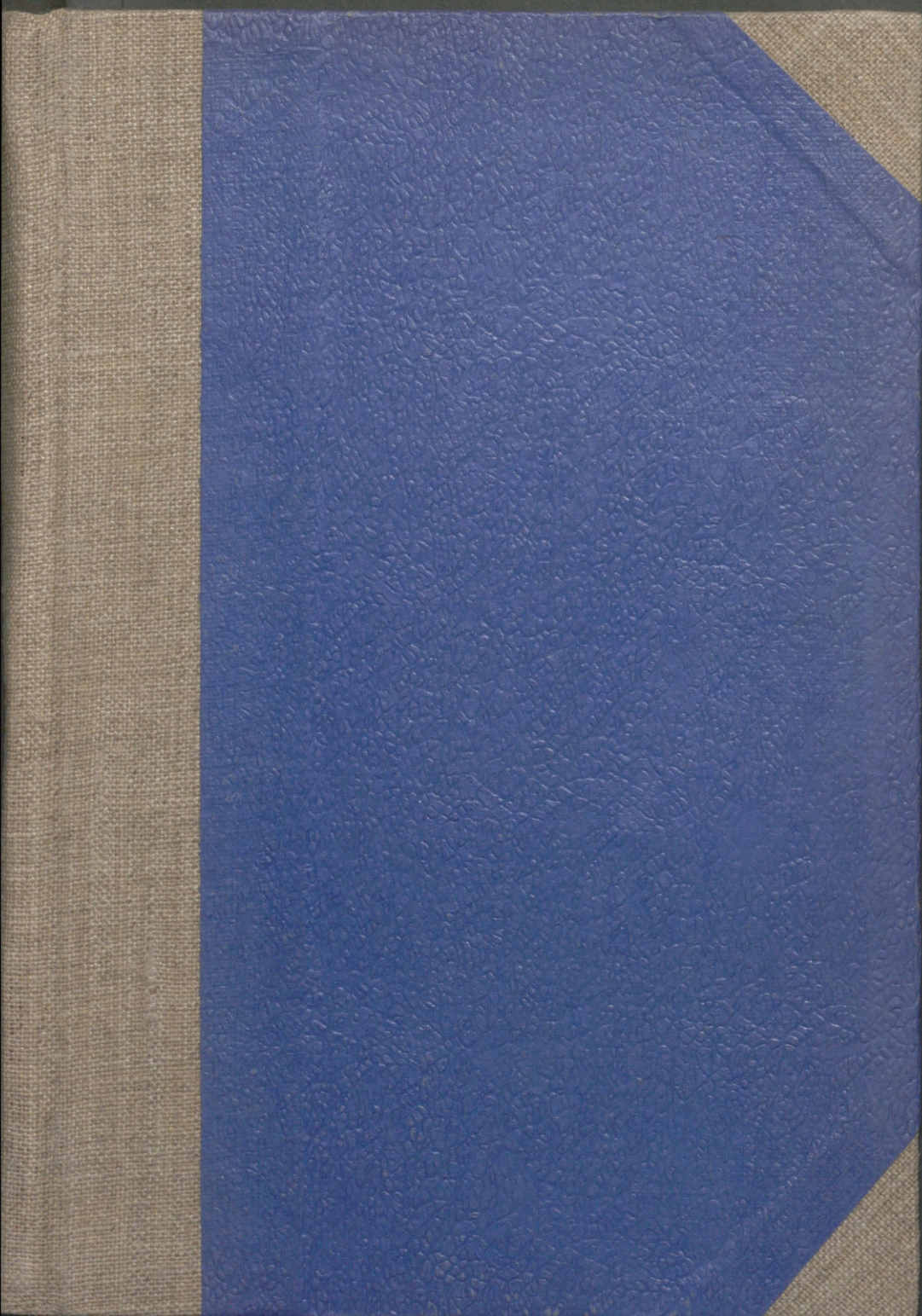


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

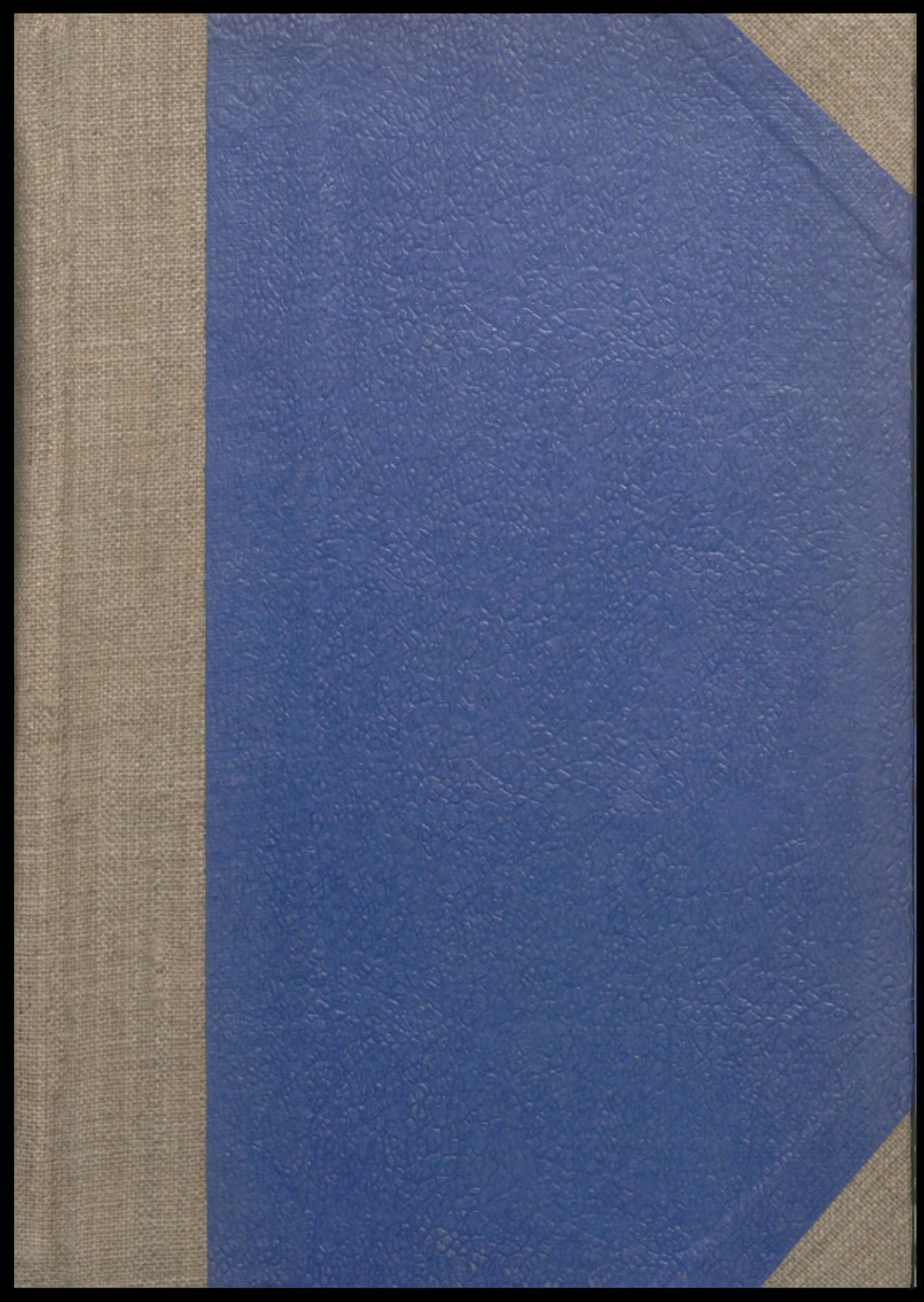


Colour Chart #13

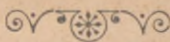
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





Z dziejów Wojska Polskiego.



Cena rub. 1 kop. 80.

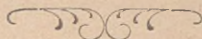
PIOTRKÓW,
DRUK. S. BEŁCHATOWSKIEGO

Rok 1813.



Z DZIEJÓW * * * * *
* WOJSKA POLSKIEGO.

BOLESŁAW ZYGMUNT GNOIŃSKI.

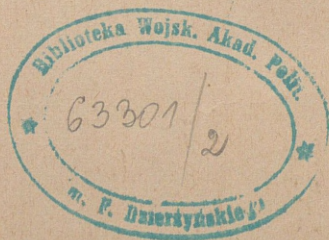


WŁASNOŚĆ i NAKŁAD

* * * * * AUTORA.

PRZEDRUK WZBRONIONY.

884-3



PRZEDMOWA.



*W*ydając niniejszą książkę pod tytułem „Rok 1813“ (z dziejów wojska polskiego), muszę zaznaczyć, że głównem zadaniem mojem jest przedłużenie opowiadania o dalszych losach rycerstwa naszego, które zacząłem w książce p. t. „Rok 1812—ze wspomnień mojego dziadka.“ Nie należy jednak rozumieć, aby niniejsze opowiadanie—miało ścisłą łączność z Rokiem 1812, gdyż każde z nich stanowi oddzielną całość. *B. H. Lewicki*

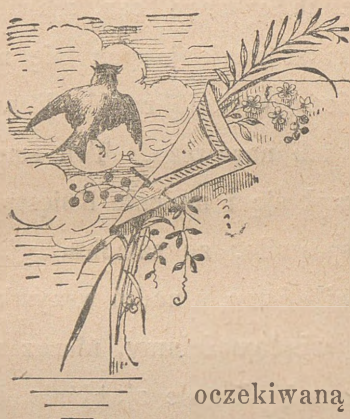


*Najlepszej i najukochańszej żonie swej Adeli
z Raczyńskich niniejszą pracę poświęcam.*

A u f o r.



I.



Smutna była Warszawa, gdy rozeszła się wieść, że najechał stolicę przez nieprzyjaciela jest rzeczą oczekiwaną z dnia na dzień. Nieszczęśliwa wojna Napoleona z Rosyją, a następnie straszne jej skutki, które boleśnie odbiły się na Księstwie Warszawskim, wszystko to szarpało serce nieszczęśliwego Polaka, wszystko to wprawiało go w przynębnienie moralne, w rozpacz, tem bardziej, że nie obeschły jeszcze lzy po stracie dzielnych obrońców kraju, których pożarł rok 1812, a któ-

rych liczba była tak wielką, że prawie nie było rodziny w tym starożytnym grodzie, któraby nie opłakiwała ojca, męża, syna, lub brata. Znikła wszelka wesołość, a na jej miejsce zjawiała się ciężka żałoba, zjawilo się zwątpienie ogólne w nadzieję lepszego losu, zjawilo się uczucie, jakoby ludzi znajdujących się na tonącym okręcie, którzy czekają rychło li pędząca fala pochłonie ich nazawsze. Ten smutek wnet też rozszerzył się i na całe Księstwo Warszawskie, a to sprawiło, że szlachta żyjąc w wielkiej niepewności o jutro, a nadto wszystko przerażona smutnymi wiadomościami, nieraz w dwójnasób powiększonymi, licznie zjeżdżała do stolicy, aby tu dowiedzieć się prawdy i zasięgnąć rady, co czynić dalej w tak trudnem położeniu.

Zdarzały się nawet wypadki, że i włości-janie nasłuchawszy się bajd, opowiadanych przez błędzących po wsiach włóczęgów, przyjeżdżali do Warszawy i tu zatrzymując się na Starem Mieście, z rozpaczą w głosie, pytali

przechodniów, gdzie mieszka ten co rządzi Polską, aby mogli spytać go o radę, co mają począć, gdyż pono, jak wyrażali się niektórzy, idzie naród od wschodu słońca, który ogniem i mieczem niszczy i w peźynę obraca wszystko na tej świętej ziemi. A do Rzymu pono przyszło pismo od świętego Piotra, jakoby na naszej ziemi polskiej niema pozostać kamień na kamieniu.

Tak więc w Warszawie ogólnie radzono i dysputowano, różne stawiając wnioski względem dalszego losu rodzinnego kraju, które atoli, bądź dobre lub złe, ginęły bez wykonania a tym czasem zwątpienie, rozpacz, a czasami i strach jakoby nieprzyjacieli już był w mieście, doprowadzały do tego, że zamykano sklepy, nie zapalano wieczorami światła, ani w domach, ani na ulicach, a co powodowało znowu panikę tych, którzy ufni, że znajdą się przecież ludzie, którzy potrafią złemu zaradzić, sami nie zajmowali się polityką, czekając tylko co Opatrzność ześle.

Jedynie żołnierze wojska polskiego nie zastanawiali się nad tą krytyczną chwilą, dla nich było dostatecznem, co rozkaże starszyzna; nie troszczyli się oni o jutro, im było zupełnie wszystko jedno czy żyć, czy umierać byleby tylko służyć ojczyźnie i aby jak najprędzej usłyszeć hasło ataku na nieprzyjaciela.

Straszna, dopiero co przebyta, wojna 1812 roku nie tylko z nieprzyjacielem, lecz także z głodem, ogniem i mrozem, nie zmogła twardego ducha żołnierza polskiego, nie pokonała jego chęci zdobycia, choćby po trupach, brama wolności dla Polski niepodległej.

By przekonać się o tem zajrzyjmy do kosszar 6-go pułku ułanów, którzy w danej chwili znajdują się w Warszawie, i obaczmy jakie miny mają ci wiarusi z pod Moskwy i jak zapatrują się na sprawę dotyczącą swej ojczyzny.

Oto wybiła 6-rano, pułk od godziny już jest na nogach i teraz właśnie podąża do kaplicy na ranny pacierz. Z powodu, że każdy

szwadron oddzielnie będzie się modlił, gdyż dla całego odrazu pułku brakłoby miejsca, przypatrzmy się zatem 2-mu szwadronowi, który najpierwszy zjawi się tutaj.

Na odgłos trąbki, powołującej do szeregu, ochoczo i żwawo wybiegają ułani z koszar; szybko staje jeden około drugiego, gdyż wiedzą o tem, że marudzić nie wolno. Ustawia się Bartek, za plecami Wojtka, Kuba — Szymka i t. d., wreszcie słychać komendę: „w dwurząd wstecz“! „w prawo zwrót“! „naprzód w pochód“! Zadźwięczały ostrogi, których odgłos ginie w podwojach siatyni. Tam ustawieni szeregi wzdłuż całej kaplicy, stają nieruchomo z oczami utkwionemi w ołtarz święty.

Na ogorzałych twarzach dzielnych wiarusów malują się: pokora, bezgraniczne posłuszeństwo, oraz prawdziwa wiara w Chrystusa, który ukrzyżowany patrzy na nich z ołtarza i zdaje się jakoby mówić:

Pójdźcie wszyscy ci, co pracujecie w pocie czoła, a ja was ochłodzę“.

Cisza, cisza zupełna, jeno słyhać kroki i stukanie szczudła o podłogę staruszka — weterana, który zapala światło przed ołtarzem, półgłosem szepcząc modlitwę; jeno słyhać skrzypnięcie drzwi, przez które wsunęła się postać młodocianego porucznika, z krzyżem legii na piersiach i z ręką na temblaku.

Jednocześnie z małej zakrystyi wychodzi poważna postać księdza kapelana i staje przed ołtarzem.

Jak kłosa sierpem podcięte, pochylają się ku ziemi krótko postrzyżone głowy ułanów, a nad nimi zdaje się, jakoby unosił się promień łaski pochodzącej z wizerunku Chrystusa, a mówiący: „Otom was umiłowiał dzieci moje, albowiem przeznaczyłem was do niesienia krzyża na miejsce przebaczenia i odpuszczenia winy ojców waszych“

„Niech będzie pan z wami“, przemawia kapłan.

Z duchem także twoim — odpowiadają wierni.

„Wznieście serca wasze“.

Mamy je u Boga — intonuje szwadrom. Po krótkiej tej wymianie słów, widać teraz, że kapłan wznosił ręce w górę i donośnym głosem mówi: „Ojciec nasz, Zdrowaś i Wierzę,“ powtarzają za nim wszyscy obecni, poczem kapłan mówi modlitwę, którą zawsze co rano powtarzają usta żołnierza polskiego.

„O Panie nasz i Stwórco! pomnij na służgi Twe poległe w boju za sprawę ojczyzny, które jeszcze pokoju zupełnego Twego nie zażywają. Prosimy cię pokornie, przenieś je i wszystkich, co w Chrystusie zmarli, do miejsca odpoczynku światła i pokoju, przez Tegoż Chrystusa Pana naszego Amen.

Pozwól nam Panie grzesznym, ale w miłosierdzie Twoje ufającym, abyśmy byli posłuszni rozkazom zwierzchników, a za wiarę i ojczyznę zawsze gotowi nie szczędzić trudów i krwi swojej, aby tym sposobem zasłużyć żywot wieczny Amem.“

Skończył kapłan modlitwę, rozległa się

komenda: „Wstać“ „wstecz zwrot“ „naprzód w pochód“ — i znowu słyhać miarowy brzęk ostróg, który ginie w koszarach.

Poszli wszyscy do swych zajęć, jeno pan porucznik przywoławszy wachmistrza staje z nim na majdanie, a kreśląc jakieś znaki końcem pałasza na piasku, w te odzywa się słowa: „Słuchaj Krawczyku, pan szwadronista zapytuje mnie jak tam z obrokami? czy na długo ich wystarczy?, boć trzeba miarkować, czy poczynić zakupy, czy też i tego będzie dosyć na drogę do Krakowa?“

Przy tych słowach pierś młodego porucznika podniosła się westchnieniem, oczy zaś jego, jakoby z pewnym wyrazem żalu spojrzały na pomarszczoną i ogorzałą od wiatru twarz staro wygi, któremu niedawny pobyt w Rosyi widocznie nie bardzo posłużył, gdyż chociaż trzymał się prosto, to jednak po zapadłych jego policzkach i głęboko wpadniętych dużych oczach, łatwo można było wyczytać, że niemłody już sługa pułku znacznie podupadł na zdrowiu.

„Choćby i wystarczyło tych obroków do Krakowa, to jednak śmiałem od siebie powiedzieć waszej mości, odrzekł wachmistrz, że od przybytku głowa nie boli, tem bardziej, że nie wiemy, czyli nie przyjdzie gdzie zboczyć z drogi, lub zatrzymać się w jakim mieście, w którym w tych czasach magazyny z paszą ponoć są puste. Ale mniejsza już o obroki, brak tych większe miał znaczenie w Rosyi, a jakoś tam było, ciągnął dalej wachmistrz, ważniejsze to, że siła szkapków kuleje, a nowego remontu jakoś nie widać“.

— „Oj nie widać, nie widać, prawdę mówisz Krawczyku, boć niema skąd go oczekiwać. Nieszczęśliwy teraz nasz naród, który się zawsze zawczasie cieszy, a za późno powątpiewać zaczyna, nie rozpacza co prawda o zgasłej sławie Napoleona, a na szczęście wierzy w zwyciężki jego powrót na ziemię polskie. I dobrze, że tak myśli, boć nie nam nie pozostaje, tylko, albo położyć głowę pod topór, albo też próbować jeszcze raz przelać krew w nadziei po-

prawy losu. Nam sługom ojczyzny pozostaje mieć tylko tą rozważę, która nie pozwala rozsądnym wątpić o dzielności ducha naszego żołnierza i chęci jego bronienia ojczyzny do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi“. Tak powiedział porucznik wachmistrzowi, a ten stał zamysłony głęboko; staremu przebiegały myśli po głowie, że nadchodzi znowu chwila, w której trzeba będzie pożegnać dzieci i żonę, udać się gdzieś daleko na wojnę, której końca trudno było przewidzieć, a wobec najechania stolicy przez nieprzyjaciela, co stać się może z biedną jego rodziną?

Dla tego też porucznik patrzył na wachmistrza z litością i nie chciał mu odrazu całej wypowiedzieć prawdy.

„Wasza mość, rzekł po chwili Krawczyk, mam jedną prośbę“.

„Mów“ odrzekł łagodnie porucznik.

„Oto ja człek, jaki tam, czy zły, czy dobry, dość, że wiernie przesłużyłem już w wojsku lat 20 i dwa okrągłe, będzie na święty

Wojciech. Było się tudy i siudy: i w gorącym kraju Afryki i w mroźnej Moskwie, a wszędzie za sprawę ojczyzny. Na pysku utykając doszło się do stopnia wachmistrza, jeno że grosiwa nigdzie nie zebrałem, bo te monstra afrykańskie, gołe były jak psy guze, nawet to hajdawerów na sobie nie miało, a tam znowu w Moskwie co z początku ciepłą niby ręką dali, to później pod Berezyną, z korzeniem nazad wyskubali. Otóż przeczuję, że taki przyjdzie znowu gdzieś łby pałasikiem rozłupywać i swojego, kto wie, czy nie nadstawić, a wtedy zostanie się wdowa i pięcioro nieletnich dzieci, bez dachu nad głową i bez krupy w garnku, mojem przeto gorącym pragnieniem jest, by Wasza mość pomógł staremu i oto tyle przemówił do Księcia pana, ileby potrzeba było aby w domu weteranów, ta biedna moja gromadka przytułek znalazła choćby do czasu powrotu z wojny“.

— „Tego, aby w domu weteranów zdecydowali się pomieścić rodzinę pełniącego służbę wach-

mistrza, nie przewiduję, lecz tem cię pocieszę mój stary, odrzekł porucznik, że nie dalej, jak wczoraj, widziałem na swoje własne oczy papier w kancelaryi podpisany ręką samego Księcia pana, w którym napisane było, aby z pułkowej kasy wypłacono wachmistrzowi 2-go szwadronu Krawczykowi, za wierną służbę i wysługę lat 800 złotych polskich“

„O święta panienko!“ wykrzyknął wachmistrz, „a dyć czegoż mi do szczęścia brakowało, a niechże Pan Jezus po starszeństwie najpierw: Jego książęcej mości, później generałowi korpusu, następnie generałowi dywizyi, generałowi brygady, majorowi, naszemu pułkownikowi, podpułkownikowi, panu szwadroniście i waszej mości da zdrowie przez dwie kopy lat, a ten nieprzyjaciel, którego idziemy prać, jak nas zobaczy, to żeby ze strachu stopniał, jak bryła lodu na rozżarzonych węglach“.

Ledwie przebrzmiały te ostatnie słowa radości z ust Krawczyka, na majdan pułkowy wtoczyła się bryka, z której sapiąc wysiadł oty-

ły szlachcic, a oglądając się wokoło, robił wrażenie jakoby chciał kogoś o coś spytać. Zobaczywszy porucznika stojącego z Krawczykiem, skierował śmiało ku nim swe kroki.

„Jestem Muszyński, przyjechałem do pana Suchorzewskiego pułkownika, czy tutaj zamieszkuje?”

— „Nie zupełnie,” odrzekł porucznik, „tutej kwateruje tylko jego pułk, sam zaś pan Suchorzewski mieszka na Piwnej“.

„O do kata, nie mówiłem, że pachciarz łże, a plutł pejsaty żyd, iż tu przywozi do niego mleko z mej obory.

— „A z daleka waćpan przyjeżdża“?

„Jakże z daleka, przecież mówię, że panu Suchorzewskiemu mój pachciarz mleko dostawia, toć przecież nie z Gdańska, jeno z folwarku Odłogi, od tego dzierżawcy, co stoi przed waszą mość panem oficerem“

Wzięła ciekawość Krawczyka spytać Muszyńskiego, czego chce od pułkownika, przeto wtrącił się do rozmowy.

— „No i niby nasz pułkownik za ono mleko nie płaci, czy jak, że waszmość panie dzierżawco, z taką groźną szukasz go miną“?

„Czy tam płaci, czy nie płaci nie moja w tem sprawa, jeno pachciarza, ja zaś przyjeżdżam ostrzedz pana pułkownika, że trzy dni temu rosjanie zajęli Brześć litewski, a prócz tego siła jeszcze mam do pomówienia.

— „E. coś mi się zdaje, że waszmość złą sobie wybrałeś drogę, bo ta wiadomość dobra byłaby dla sztabu, który zdaje mi się, że i bez waszmości wie o tem, ale nie dla pułkownika, ten bowiem z tamtąd wszelkie odbiera rozkazy“, wtrącił się znowu do rozmowy Krawczyk, sam zaś, mrugnawszy na porucznika odprowadził go na stronę, szepcząc doń półgłosem: „Nie podoba mi się wasza mość ten ptaszek, czy to czasem nie szpieg jaki wysłany od rosjan, a zda mi się, że go gdzieś już widział, chyba w karczmie, czy na jarmarku, nie mogę sobie akuratnie przypomnieć, a, że w tem nie jest czysta sprawa, to więcej jak pewno. Załguje się niby

mlekiem, a politykę wtrąca. Mażeby tak pod pozorem wskazania kwatery pułkownika, dać mu jakiego ułana, któryby go miał na oku“.

„Dobrze mówisz“, zauważył porucznik, tego samego jestem zdania“.

Ledwie jednak zdążyli porucznik z Krawczykiem powrócić na miejsce rozmowy z mniemanym Muszyńskim, ten już wsiadł do swej bryczki i znikł za bramą majdanu.

Był by może puścił się kto za nim, ale w tej właśnie chwili na majdan wprowadzono świeżo zaciągniętych rekrutów, porucznik więc i wachmistrz musieli się zająć rozmieszczeniem ich po szwadronach.



II.

W tym dogorywającym stanie księstwa Warszawskiego, ogłoszono pospolite ruszenie, z którego zebrany żołnierz, częścią był przeznaczony do bronienia kraju, częścią zaś miał służyć do wyrównania braków w pułkach polskich, które teraz ciągle znajdowały się pod komendą księcia Józefa. Nie mając żadnych rozkazów od króla saskiego, ani od Napoleona, dokąd ma się udać z wojskiem, wódz polski porozumiewszy się z księciem Szwarzenbergiem postanowił ruszyć do Krakowa.

Dnia 29 stycznia ukazała się odezwa księcia Józefa do wojska polskiego, w której przypomina o rychłym opuszczeniu Warszawy przez Radę ministrów i wojsko polskie, wzywa,

by z pokorą przyjęło to postanowienie, gdyż tak być sądono i tego potrzeba, aby zbawić ojczyznę.

Dnia 5-go lutego już od 7-mej rano powstał gorączkowy ruch w mieście, wszędzie po placach i na Polu Mokotowskim kończono z pośpiechem segregację nowo zaciągniętego rekruta, a następnie o 11-tej przed południem, wojsko polskie stanęło w szyku pochodowym na Placu Saskim.

Zdawało się patrząc na to rycerstwo, iż to pole zasiane różnobarwnym kwieciami, zdawało się jako by ten szmer chorągiewek, ten las lanc sławę swą chce rozniecić po świecie, a jednocześnie żal ścisnął serce, że jest to jednak ostatni może promień zachodzącego słońca, że ci ludzie, może przyszli tułacze po obcych ziemiach, — to reszta krwi, która ma być wylaną na ołtarz ofiary.

Wtem z pośród starszyny wyjeżdża na białym koniu wódz postawą piękny, i niby sokół srebrno-pióry rusza galopem ku frontowi, gdzie

lekkiem poruszane wiatrem szeleszczą sztandary.

„Baczność rozlega się komenda, prezentójb
broń“! Brzękła stal dobotych pałaszów. Książę
wzniósł oczy w górę, a z ust jego popłynęły
słowa przemowy, w czasie której, nie jedna go-
rąca łza, stoczyła się po policzkach słuchaczów.

— „Wierzę bracia moi, mówił książę w za-
kończeniu, że nie chęć zdobycia fortuny prowa-
dzi was za mną, lecz miłość dla ojczyzny, a
święte prawo jej bronięcia. Niechże więc wie
świat cały, że serca polskie nie przestały bić
dla rodzinnej ziemi, dla ziemi pradziadów swo-
ich. Niech wróg nie łudzi się nadzieją, że poko-
nując ciało, zmoże także ducha polskiego“.

Skończył książę mowę, „Amen“ przemówi-
li kapelanowie pułkowi, „Amen“ powtórzył lud
i wojsko, poczem rozległy się sygnały i w ko-
lumnach plutonowych piechota, oraz kawalerja
w szyku polowym, z muzyką na czele, ruszyły z
miejsca, a w chwilę później zniknęły za rogat-
kami miasta.

Tak więc opuściło Warszawę wojsko pol-

skie wraz z Radą ministrów, Radą generalną i komisarzem francuskim Ludwikiem Bignonem, mianowanym po ustąpieniu Pradt'a ministrem pełnomocnym francuskim przy rządzie Księstwa Warszawskiego.

Nie zapomniano także zaopatrzyć się w odpowiednie fundusze na cel tej podróży, dla opędzenia wydatków utrzymania wojska i rządu Księstwa. Składały się one z wszelkiej gotowizny kas publicznych, kapitałów osiągniętych ze sprzedaży zapasów soli, oraz wszelkich depozytów, którymi jednak nie szafowano, lecz jako należące do osób prywatnych strzeżono, jak oka w głowie, i nie naruszone sumy te po skończonych wojnach na obcych ziemiach, zwrócono w całości właścicielom.

Tym czasem generał rosyjski Korf zajął przedmieście Warszawy „Czyste“, pod Wolskimi rogiatkami, tegoż dnia generał austrijacki Siegenthal, który miał w one czasy swą główną kwaterę w Fałętach, zawiadomił prezydenta Warszawy, iż odezwy rosyjskie zapewniają mieszkańcom

bezpieczeństwo osób i majątków, oraz utrzymanie władz krajowych, przyczem wzywa go, aby wpływem, a w ostateczności nawet siłą gwardyi miejskiej, utrzymał porządek i spokojność publiczną, a także, aby wydał rozkaz wojskowym francuskim i sprzymierzeńcom tejże nocy opuszczenia miasta, w dniu następnym zaś, aby wysłano deputacyę na spotkanie wchodzącego do Warszawy generała rosyjskiego. Jednocześnie z tym rozkazem miejscowe pisma publicznie ogłosiły list Siegenthala do generała Korfa, oświadczający, iż 7-go lutego opuści z wojskiem Warszawę i jej przedmieście Pragę, a dlatego też poleca wspaniałomyślności rosyjskiego generała los rannych inwalidów, chorych francuzów i sprzymierzeńców. Na skutek tego rozkazu prezydent miasta Warszawy uwiadomił ludność o mającym nastąpić wkroczeniu wojska rosyjskiego, nakazując jednocześnie pod karą surowej odpowiedzialności, aby wszelka broń, nawet zepsuta zabrana przez mieszkańców z arsenału Pragi, tamże nazad była złożoną.

W tym prawie czasie cesarz Aleksander, przeszedłszy Wisłę pod Płockiem, zajął Kalisz, gdzie i ustanowił rząd tymczasowy dla Księstwa Warszawskiego, czyli Radę najwyższą w skład której weszli rosyjanie: Łańskoj otrzymując stopień prezesa i Nawosilców wiceprezesa. Reszta członków składała się z kilku Polaków, pomiędzy którymi był także książę Ksawery Lubecki.

Wojsko polskie, wychodząc z Warszawy, nie miało zawczasu wytkniętej marszruty, musiało się bowiem kierować temi drogami, które przedstawiały możliwość pochodu, tak ze strony mogącego zastąpić mu nieprzyjaciela, jak i magazynów prowiantowych; poszło więc na Raszyn, Nadarzyn, Mszczonów, Rawę, Tomaszów, który prawie w ten czas powstał, założony przez Andrzeja hrabiego Ostrowskiego, Wolbórz, gdzie były dwa magazyny prowiantowe i trzy wielkie składy zboża, zbudowane, i w ostatnich czasach Księstwa, hojnie wspierane przez okolicznych obywateli—nareszcie przez Olkusz do Krakowa.

— Temi drogami idąc, pochód wojska polskiego nie odbywał się forsownie, lecz w miarę następowania nieprzyjaciela, który stopniowo, za wyjątkiem twierdz, opanowywał całe Księstwo.

Gdy w Wolborzu pochód ten został ze względów strategicznych na kilka dni wstrzymany, urządzono tu na radę wojenną w pałacu biskupim, która zajęła się głównie sprawą twierdz: Zamościa i Modlina, a która winikła wskutek zmiany sytuacji w ostatnich dniach. Wynikiem tej narady zaszła potrzeba wysłania sztafety z wojska polskiego, któraby w te punkta, jak najprędzej polecenia i wskazówki zawiozła.

Tegoż dnia, w którym odbyła się narada wojenna, o godzinie 2-ej w nocy do drzwi kwatery znanego nam z opowiadania porucznika, dość energicznie zapukano, a po otworzeniu ich do mieszkania weszła postać szeroko barczysta z długimi wąsami—wachmistrza.

— „A Krawczyk, co tam u dyabła? nieprzyjaciel osacza? czy jak? mów prędzej“ rzekł niespokojnie porucznik.

„Przedstawiam rozkaz pana pułkownika, odrzekł wachmistrz, podając porucznikowi pakiet zaopatrzony pieczęcią księcia Józefa, z adresem do komendanta twierdzy Zamościa i niewielką kopertę zaadresowaną do porucznika, w której się mieścił osobisty dla niego rozkaz, dotyczący możliwie spiesznego wręczenia pakietu rady wojennej, komendantowi twierdzy w Zamościu. Do spełnienia tego rozkazu polecono porucznikowi wziąć z sobą 10-iu ułanów 2-go szwadronu i wachmistrza Krawczyka.

Była to jeszcze długa noc zimowa, a przytem śrzysta i ciemna, choć oko wykol, podczas której dwanaście czarnych postaci przesunęło się po bruku miasteczka i niby jakieś tajemnicze duchy zniknęło w ciemnościach sąsiedniego lasu.

Lasy w one czasy nie były tak przetrzebione jak obecnie, przeto pomiędzy Wolborzem, i Zamościem ciągnęły się nie przerwane prawie bory, w których niekiedy gromady włośczęgów znajdowały przytulisko. Nie brak też tutaj było wilków, zwłaszcza w okolicy Iłży, które podczas

zimy stawały się postrachem dla przechodniów i przejezdnych. Podróż zatem dla sztafety nie tylko nocą, lecz i dniem, nie należała do bardzo przyjemnej, tem bardziej, że pomiędzy Wolbórzem, Piotrkowem, Opoczmem i Radomiem grasowała banda rozbójników, składająca się z kilkudziesięciu ludzi z swoim hersztem Pyzą, który dzięki nieporządkom w kraju bezkarnie rabował dwory i napadał podróżnych.

Ponieważ w tych stronach, któredy przejeżdżała sztafeta, nieprzyjaciela nie należało się jeszcze spodziewać, ten bowiem dopiero zdążył zająć Warszawę, przeto, tak porucznik, jak i jego podwładni, byli pewni, że żadna ważniejsza okoliczność nie zakłóci im spokoju. Zaledwie jednak znaleźli się na szerokim leśnym trakcie prowadzącym do Opoczna, z daleka dał się słyszeć przeraźliwy, a daleko niesiony przez echo krzyk wzywający pomocy.

„Wasza mość,“ przerwał milczenie Krawczyk, „słysząc, że głos woła ratunku, chyba chłopstwo powracające gdzieś z jarmarku wzięło się za

łby i słabsi biorąc łanie od mocniejszych tak wrzeszcza, czy zły błądzi po lesie i do błota wabi, nijak nie skalkuluje.“

Porucznik, który jeszcze mniej był oznajmiony z tajemnicą lasu, odrzekł: „licho wie, w każdym razie głos biegnie jakoby z tej drogi, po której jedziemy; nie zawadzi zatem przyspieszyć, by się przekonać.“

Po tych słowach konie ruszyły dobrym galopem. Wchwilę potem pędzącym dały się widzieć światła z kilku pochodni okrążającą karete, z której łatwo było rozraźnić, jak jacyś ludzie wyciągali dwie kobiety i szamotali się z dwoma mężczyznami, widocznie z woźnicą i panem; ten ostatni łącząc krzyk swój z piskiem kobiet, bronił się karabela.

„Acha, rozumiem“, mruknął do siebie porucznik, poczem zwracając się do wachmistrza rzekł: „Krawczyk widzisz co się święci“?

— Tak jest wasza mość, jakoby na obydwu oczy: rabunek; kupa napadła na szlachtę— odparł wachmistrz.

—,;Otoż to właśnie, że kupa, ale nie wiadomo jak liczna i jaką ma broń, należy przeto myśląc o pomocy poszkodowanym, rozdzielić się na dwie części. Ja z 5-ma ułanami napadnę zbójów z nienacka, z lewej strony lasu, ty zaś bierz swoich 5-u i okrażaj z prawej, pamiętaj tylko dobrze skrócić w las i dopiero na mój strzał z pistoletu, atakuj, gdyż jadąc drogą mogliby rabusie umknąć bezkarnie, tem bardziej, że to noc“, pośpiesznie rozkazywał porucznik, poczem obydwa dowódcy swych oddziałów zniknęli w lesie.

Napadnięci byli to obywatel ze wsi Starej: jego żona i córka, którzy właśnie posłyszawszy, że wojsko polskie stoi w Wolborzu dążyli spotkać tam kuzynów i znajomych.

Już był jeden ze zbójów rzemykiem pęstał ręce pannie Zofii, a drugi po rozbrojeniu szlachcica miał ręką tłustego jego gardła, gdy w lesie huknął strzał, poczem, jak buragan z obydwóch stron lasu wypadli ułani.

„Na kolana psy“! wrzasnął porucznik.

Zjawienie się ułanów, było tak niespodziane i komenda porucznika, tak detonującym rozkazem, że nie tylko rabusie, ale i napadnięci popadali na kolana.

Pierwszy przyszedł do równowagi obywatel, który poprawiając pasa z tryumfem zerwał się na nogi. Wachmistrza brała chęć wielka do bójki, stał przeto chwilę jakoby namyślając się co począć, poczem zrobiwszy ruch bronią w stronę herszta, zapytał porucznika:

„Czy Wasza mość nie każe porzestować zbójów ołowianemi śliwkami? toć wszystko jedno, czy co z prochu powstało w proch się obróci, czy od prochu zginie“.

„Zapewne masz zupełną rację, odpowiedział młody oficer, ale to rzecz nie żołnierska, mojem zdaniem będzie najlepiej zabrać ich ze sobą i gdzieś po drodze oddać w ręce sprawiedliwości a że czasu nie mamy więc dal j w kupę drabów i marsz.“

W chwilę potem dziesięciu rozbrojonych napastników, ustawieni parami i okrą-

żeni żołnierzami z pokorą ruszyli z miejsca.

„I ja wracam do domu, odezwał się głos obywatela z karety, za nic dalej nie pojedę, pojedziemy zatem razem bo i mnie w tą stronę wypada. Przy tych słowach wystraszony stangret, w zupełności dzielając zdanie swego pana huknął na konie wykręcając kareta.

Wszystko to tak szybko się stało, że nie było dotąd czasu, ani obywatelowi pomyśleć o podziękowaniu za ocalenie, ani też porucznikowi zapoznać się z nim, jego żoną, a nadewszystko z panną Zofją, która daleko na okolicę słynęła ze swej piękności. Obok zalet: regularnych rysów twarzy, pięknych, mądrze patrzących niebieskich oczu, i wspaniałej gibkiej jak młoda topola kibici, znaną była także ze stałego charakteru, a chociaż o talarach w posagu jakoś nie wiele wspomniano, to jednak liczna młodzież ubiegała się o jej rękę. Co jednak począć kiedy młoda Zośka marzyła o takim, któryby się jej podobał, a tu pomiędzy tymi, co się ubiegali o jej względy, wybór był trudny:

pan rejent bowiem, miał krótszą jedną nogę; syn sąsiada, był trochę garbaty; brat proboszcza nawskroś przesiąkł ministranturą, a co gorsza jedno jego oko rybnie, a drugie piwne o białej brwi, nie dawały Zofii powodu do rozkochania się w nim więc i pomimo gotowizny jaką posiadał, dała mu kosza.

Rok temu, wprawdzie, bawił w ich domu przez kilka dni jakiś młody wojak z Warszawy, który wywarł na niej dość miłe wrażenie, ale nieszczęście chciało, że trochę zapijał sprawę; przytem tak obębnił starego dziedzica na partyjce wista, że pomimo, iż gotów był każdego rywala brużdżącego mu w konkurach do Zofii, na drobną kaszę pałaszem pociąć, to przecież tak zbrzydł dziedzicowi, że nawet wyrobił w nim niepocholebną opinię:

„Wojskowi, a do tego ułani, to nie poczciwego, tylko by ogrywali ludzi w karty jakąś nieczystą siłą, a do gardła dolewali niby do kufy bezdennej.“

To też jak wyjeżdżał z koszem ów ułan

oficer, uciecha poronionych już amantów do tego stopnia doszła, że jeden z nich, a mianowicie rejent, sporządził nieprawny akt, mocą którego dwa majątki ziemskie: Białobrzegi i Dębiany z rąk wdowy z sześciorgiem dzieci po pułkowniku Kucharskim przeszły w ręce byłego majątków tych dzierżawcy Andrzeja Pękalskiego, uprzednio mydlarza z Piotrkowa.

Trudno mówiąc o roku 1813 nie podobna ominąć tych faktów, jakich po roku 1863 znalazłoby się więcej.

Otóż ciągnąc dalej opowiadanie, wracam na drogę leśną, po której toczy się karoca z obywatelstwem, okrążona ułanami.

Kilka już razy dziedzie spoglądając w odwarte okno swej karocy, oczekiwał chwili zbliżenia się porucznika na taką odległość, na jakiej mógł by mu podziękować za swe ocalenie.

Wreszcie, nie bez wpływu kobiet, kazał zatrzymać karoce, a wytoczywszy się z niej, skierował swe kroki ku nieopodal jadącemu boczną ścieżką porucznikowi.

— „Panie poruczniku,“ rzekł z uprzejmością w głosie „*mea maxima culpa*,“ że o długu wdzięczności dotychczas milczałem, ale w tej opresyi, ze wszystkiem język mi zeszywniał, pozwól, zatem złożyć ci uznanie, jako dzielnemu rycerzowi o szlachetnej duszy.“

— „Ależ nie czuję się godnym tak wielkich pochwał, jakimi obdarzasz mnie Waśpan, spełniłem tylko czyn, który obowiązuje każdego żołnierza broniącego granic kraju i spokojności jego mieszkańców.“

— „Niechże przynajmniej wiem komu zawdzięczam z rodziną swe życie,“ mówił dalej szlachcic.

— „Jestem Leszczyński, porucznik 6-go pułku ułanów, zwanych „Poznańczykami.“

— „O Chryste Jezusieńku! toć matka moja, świeć Panie nad jej duszą, z Leszczyńskich ród swój wywodziła. Z jakich że stron pochodzisz panie poruczniku, czyli czasem nie z Poznańskiego?“

— „Tak jest“ potwierdził porucznik, który widocznie mając ważniejsze sprawy, zupeł-

nie nad czem innym zastanawiał się, i zły był poniekąd, że czas marnuje jadąc stępa, gdy tymczasem znacznie przybliżyłby się do celu podróży.

— „A toć z tego widzę, że o miedzę w pokrewieństwie stojemy. O dalibóg, za nic nie pozwolę na to, żebym nie miał poznać krewniaka z rodziną moją.“

— „Masz djable kaftan,“ rzekł półgłosem wachmistrz, widząc siadającego do karocy oficera „jeszcze gotów porucznika na jakie gody zwabić i z tego tylko będzie kram, że i sam Lucyper większego nie potrafi narobić. A jak jeszcze rozpatrzy się we wdziękach tej sikory, no to już taki być, że sztafetę opóźni, a dopiero wtedy każe spinać konie ostrogami, żeby wyrobić stracony czas, a dopiero też będzie zły, jakbym wiedział, że i mnie się co od niego oberwie.“

Tymczasem porucznik siedząc w karecie, a rozmawiając ze swem towarzystwem, tak był niem zajęty, że na razie można było przypusz-

czać, iż nie niema na głowie, i że nie zwróci uwagi na wachmistrza niepokojącego się coraz to więcej.

Piękne oczy panny Zofii oczarowały młodego wojaka. Pod ich wpływem i płynących słów z usteczek koralowych porucznik zdradzał wielkie zainteresowanie się dziewczyną, co także spostrzegł i jej ojciec, a uważając zachowanie się młodego człowieka względem panny na wydaniu, jał wnet kalkulować sobie w głowie, czyby nie zdał się na zięcia. Chcąc przeto uprzednio wypróbować czyli nie posiada wady ogólnie ułańskiej, to jest czy nie lubi grywać karty i zaglądać zbyt często do butelki, wtrącił się do rozmowy w te słowa:

— „Ot żeby w czasie było więcej, zaprosiłbym waszmości na partyjkę wiścika, zazwyczaj należy do niej i nasz proboszcz, który przyznam, że grubo stawia, a na grze nie zna się wcale.“ Wy-
powiedziawszy to zaczął z uwagą śledzić minę porucznika, i bacznie nadstawiać tego ucha, na które lepiej słyszał, aby nie opuścić zacie-

kawiającej go odpowiedzi. Porucznik jednak spojrzawszy na niego bacznie odpowiedział niechętnie, a krótko, że wojakowi nie czas teraz zajmować się rozrywkami, kiedy ojczyzna w niebezpieczeństwie. Wogóle nie gra w karty, i grę tą, a szczególności na pieniądze grube, uważa za hazard, potępienia godny. Nie podobala się odpowiedź ta szlachcicowi. Pomyślał sobie, masz tobie, ten znowu zupełna niedołęga na tym punkcie, myślałem, że odpowie jakoś pośrednio, niby tak, jak to ja rozumiem: przegrać nie zawiele, wygrać nie zawiele, no i pić także nie zawiele. Na takiego właśnie zięcia dobry byłby rejent, tylko że zastary, no i ta krótsza noga, trochę przeszkadza mu w podbojach miłosnych.

Przeciwnie zapatrywanie wyraziły kobiety, dzielając w zupełności zdanie porucznika, co jeszcze bardziej zachmurzyło twarz szlachcica. Kryjąc niezadowolenie, wyjął on olbrzymią kolorową chustkę, którą miał wtedy zwyczaj wyciągać, gdy chodziło mu o podkreślenie jakiegoś argumentu, a zanurzając w niej nos, zauważył: „E

moi państwo, powiem wam, iż w Piśmie Świętym cytowane jest, że Pan Bóg nie gniewał się na Noego za to, że głowę zaproszył, chociaż wszyscy święci byli zdania, iż wypił za wiele, a cóż dopiero powiedzieć o zwyczajnym śmiertelniku, który chcąc osłodzić ziemskie troski wysuszy dno gęsiorka.“

Tymczasem las się skończył, karoca wjechała na olbrzymią polankę, z boku której stała wioska.

—„Oto i Stara, a tam gdzie widać dworek w pośród topoli, to nasza chudoba,“ rzekł szlachcic, zwracając się do porucznika i wskazując w stronę wsi. „Sądzę, że nam pan nie odmówi propozycji dania mu odpoczynku?“

Porucznik pomimo, że nie odrzekł, jednak skinieniem głowy okazał zgodę.

Dla tak drogiego gościa, jakim był w tej chwili oficer w domu szlachcica, poczyniono wszelkie przygotowania, aby mu przyszykować możliwy wywczas.

Panna Zofia sama zajęła się śniadaniem, dziedzic zaś oddawszy rabusiów w ręce straży

złożonej z chłopów, odesłał ich do Piotrkowa, poczem udał się do stajni, aby tam wydać dyspozycję karbowemu, co do miejsca na konie sztafety i wydanie im obroku.

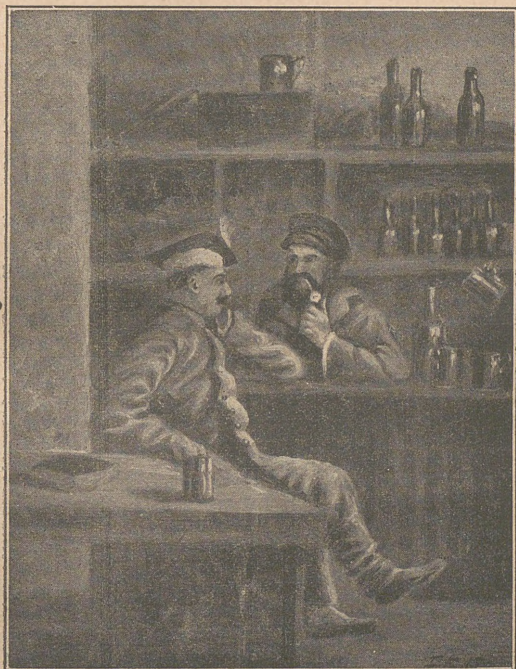
Nie długo potem do zastawionego śniadaniem stołu zasiadł porucznik z domownikami.

Każda chwila stawała się dlań tem bardziej przyjemną, iż afekt jego względem panny Zofii nie przepadł marnie, a prócz tego czuł dla siebie sympatję jej rodziców w całym znaczeniu tego słowa.

Po śniadaniu, jak dzieć tak i jego małżonka, oraz córka, udali się do swych codziennych zajęć, wskazując uprzednio pokój, w którym gość miał urządzić sobie drzemkę po bezsennej spędzonej nocy.

Jak wiemy już z opowiadania, porucznik Leszczyński prowadząc sztafetę, wiózł rozkaz do komendanta twierdzy w Zamościu, generała Hauke, który tembardziej był ważny, że w nim znajdowały się paragrafy wynikłe z postępowania księcia Czartoryskiego, który w rzeczywi-

stości nie miał złej woli dla rodzinnego kraju, sądząc, że tylko z pomocą cesarza Aleksandra i pod jego opieką Polska na nowo powstać może, to jednak postępowanie jego zamiast polepszyć pogorszyłoby tylko sprawę.



W chwili, kiedy porucznik zasnął snem stwardym, przed karczmą w tejże wiosce Starej, zatrzymała się bryczka, z której wysiadł jakiś jegomość ubrany w niezupełny strój kontusz

brakowało bowiem przy nim wylotów i pasa, nadając mu wygląd podobny nieco do ubrania mieszczanina z okolic Warszawy. Dość dobrej tuszy pan, skierował się do wnętrza karczmy, poczem kazawszy arendarzowi zagrzać sobie piwa, wszedł z nim w rozmowę:

— „Cóż arendarzu dobre utargowanie macie z tego karczmyska?”

— „Gdzie tam dobre, odrzeczże żyd z siwą brodą i w obwarzanek wykręconemi pejsami, opłata droga, utargowanie małe, czasy niespokojne, ludzie więcej się modlą, jak odwiedzają karczmę, a co lepszy gość, to do dworu wali“

— „To ten wasz dziedzie musi być bardzo gościnny pan?”

— „Ny, co mnie przyjdzie z jego gościnności, dobrze każe sobie płacić, a lepszych kontmanów, tak do siebie przynęcił, żebym widział kiedy od nich jaki złamany grosz, to bym się musiał przyglądać, jak sroka w kość.”

— „A takich lepszych kontmanów dużo tędy przejeżdża?”

— „Ny jak się zdarzy, teraz w ostatnich czasach, to trochę więcej, a może będzie jeszcze więcej, bo jakieś wojaki, co stoją we dworze złapili wczorajszej nocy rabuśnika Pyzę, a przez tego, to się może nie jeden nie będzie bał tym traktem jechać.“

— „A cóż to byli za wojacy? — ciekawie zapytał przybysz.

— „Ny ja nie wiem, ja ino tylko widiałem, że mieli takie długie szpikulce z chorągiewkiem i z ręką trzymali piskulenty, przez tego widać, żeby Pyza nie uciekł.“

Usłyszawszy te ostatnie słowa nieznajomy pośpiesznie zapłacił żydowi za piwo, poczem wsiadł w swą brykę i zniknął w pobliskim lesie.

W niespełną pół godziny, nie wiadomo z kąd na dziedziniec Starej wjechała sotnia kozaków, z których jedni posiadawszy z koni wpadli do stajni, inni zaś do dworu. Podniosła się wrzawa, szczekanie psów, krzyk wachmistrza, komenderującego „nie poddawaj się“, poczem w stajni wszystko uciechło i można było tylko

zobaczyć, jak kozacy wyprowadzali konie ułanów, szykując się do odjazdu.

Inaczej rzecz się miała w pokojach dworu. Pierwszy kozak, który wszedł do pokoju porucznika, został ugodzony kulą pistoletową, drugi oberwał pałaszem po głowie, trzeci jednak z tyłu pochwycił porucznika, dając możność pozostałym towarzyszom związać mu ręce i nogi.

Przystąpiono do poszczególniej rewizyi całego dworu, a choć nie mówili czego szukają, to przecież łatwo można było zrozumieć, że papierów, które wiozł porucznik, te jednak tak zostały gdzieś schowane, że pomimo, iż nawet zaglądano pod podłogę, nigdzie dostrzedz ich nie mogli.

W chwili napadu na dwór wystraszeni gospodarze skryli się w czworakach, pozostawiając chudobę swą na łasce nieproszonych gości. Tymczasem dalszy rezultat był taki, że związanego porucznika kozacy z rozkazem komendanta sotni, przywiązali do konia i uprowadzili w lasy.

III.

Jak wspomnieliśmy przedtem, już 8 lutego 1813 r. wojska rosyjskie zajęły Warszawę, jednakże nie była to cała armja Aleksandra I, gdyż większa jej część prawie jednocześnie ścigając Napoleona pod dowództwem naczelnego rosyjskiego wodza Kutuzowa, przeszła rzekę Niemien, gdzie na pruskiej ziemi z radością zastała przyjęta przez wojska pruskie. Dzień ten w Prusach został upamiętniony iluminacją miast, po których jeździły tryumfalne wozy z umieszczonymi na nich napisami. „Niemiec dla rosjanina.“

Niemożna przewidzieć, aby, jak wyrażają się niektórzy z historyków, król

pruski Fryderyk Wilhelm III dopiero po długim namyśle zerwał przymierze z Napoleonem, a wstąpił w sojusz z Aleksandrem I, gdyż ten ostatni wyгнаwszy francuzów z Rosyi, mógłby był przecież na tem poprzestać, a nie bronić praw prusaków czyli niedawnych swoich wrogów, stąd przypuszczać należy, że I rusy pom gając Napoleonowi do wojny z Rosją 1812 roku, już wtedy z góry obmyślonym planem działali na jego niekorzyść, tem bardziej, że Rosja aczkolwiek posiadała dobrego ducha w żołnierzu, to przecież tenże teraz o wyczerpanych siłach, a zwłaszcza z braku amunicyi, odzieży i obuwia, pod żadnym pozorem nie mógłby był zapuszczać się w tak dalekie strony, nie wiedząc uprzednio, czy kraj przez który pójdzie ścigać swego nieprzyjaciela rzeczywiście będzie przychylnym dla Rosyi.

Łatwo zrozumieć, że Napoleona jako niebezpiecznego w one czasy monarchę, z przyjemnością podbite przez niego państwa szukały sposobu (jako element rewolucyjny przeciwko

niemu, który zaraził wojska sprzymierzone jeszcze przed bitwą pod Borodino) zdetronizowania, a przez to z pod jego władzy uwolnienia się.

Jedni z historyków zapewniają nas, że król pruski zaraz po przejściu wojsk rosyjskich przez Niemen, zawarł przemierze ze znajdującym się tamże przy swaj armii monarchą Aleksandrem I gdy tymczasem niezbite fakta udowodniają, że przemierze to zostało zawarte w Káliszu, dokąd ci dwaj monarchowie, celem porozumienia się względem dalszych działań przeciw Napoleonowi przybyli.

I tak więc cesarz Aleksander podzieliwszy swą armję na dwie części: jedną pod dowództwem generała Miłoradowicza przeznaczył do zajęcia Księstwa Warszawskiego, drugą podwodzą Kutuzowa do marszu przez Prusy Królewskie na Bydgoszcz, Poznań ku granicy Saksonii, dokąd także dążyły na nowo zebrane wojska Napoleona z Francyi na Gandawę, Elberfeld i Kassel.

W tym prawie czasie wojsko polskie posuwało się w stronę Krakowa, prowadzone przez niezmęczonego żadnemi trudami miłośnika swej ojczyzny, drogiego dla naszej pamięci wodza księcia Poniatowskiego, zawsze w towarzystwie barona Bignona mianowanego, jak wyżej wspominaliśmy, ministrem pełnomocnym francuskim przy rządzie Księstwa Warszawskiego w Styczniu 1813 r.

Czytając, że wojsko polskie wyszło z Warszawy, koniecznem jest wiedzieć także, co wogóle skłoniło Radę ministrów do tego przedsięwzięcia, gdyż zdrowy rozsądek tłumaczy, że lepiej przecież było pozostać się na miejscu i choćby partyzantką bronić własnych śmieci.

Otóż postaram się to wytłomaczyć w następujący sposób:

Wiemy już, że Szwarzenberg był generałem austryjackim dowodzącym trzydziesto ośmiotysięcznym korpusem i do zerwania traktatów Wiednia, czyli cesarstwa austryjackiego z Napoleonem, była to siła, która mniej więcej w po-

łączeniu się z polakami mogła stawić opór trzydziesto tysięcy awangardzie rosyjskiej sformowanej pościgiem, a tem już samem niezdolnej przełamać sił polsko-austryjackich. Lecz niestety, Szwarzenberg otrzymawszy tajne rozkazy z Wiednia, zdobył się na ohydny zdradę zjehawszy nagle z okolic Pułtuszki do Warszawy, tu w obecności Rady ministrów oświadczył kategorycznie kłamiąc, iż na Warszawę ciągnie około 200,000 wojsko rosyjskie i że wobec tego nie widzi podobieństwa jej obrony, a zatem musi wycofać swój korpus do Galicyi.

Nie mógł znieść tych słów fałszywych szlachetny generał polski, jednakże zachował swoją godność wobec rady narodu polskiego i dopiero na drugi dzień, przy osobistym widzeniu się z Szwarzenbergiem, jako niedawnemu towarzyszowi broni, tyle powiedział, ile wystarczyło by dla człowieka z honorem przyjąć te wyrazy za rzuconą rękawicę. Szwarzenberg jednak unikając pojedynku, po kilku dniach, ciągle udając, że działa na korzyść Napoleona, a tem samem

i Księstwa Warszawskiego spokojnie podpisał ułożoną z Austettem konwencję, poczem wróciwszy pośpiesznie do swego obozu, przepawił się za Wisłę pod Zegrzem, wysyłając urzędowy teraz papier przez ręce Bignona, a pod adresem Poniatowskiego o swoim odstąpieniu od wszelkich zaczepnych działań przeciwko armii rosyjskiej i konieczności wydania Warszawy.

Niepodobna było, wskutek takiego obrotu rzeczy, nawet i myśleć dłużej opierać się szczupłym siłom polskim w Warszawie, a należało jeśli w niej pozostać, to oręż złożyć, jeśli zaś nie, to połączyć się z armją Napoleona.

Niektórzy z osób wpływowych, jak Eustachy ks. Sanguszko, wice-regimentarz Konfederacyi warszawskiej, namawiali ks. Józefa, a nawet używali wszelkich ku temu sposobów, aby przerwać, jak wyrażali się, zupełnie beznadziejną wojnę, pozostać w Warszawie i oddać się na los zwycięzcy. Lecz te rady nie wiadomo, jak było pojmować, gdyż ogólnie naprężona sytuacja coraz to więcej zaostrzała się nie-

dając sposobu ustalenia decydującego planu i wobec tego ks. Józef stawiający się na sesję Rady ministrów, po wyczerpującej naradzie wymagał wycofania się rządu i wojska z Warszawy, kończąc swe zapatrywanie temi słowy: „Korzystajmy póki zdradę austryjaków możemy przypisać tylko Szwarcenbergowi, i spieszmy połączyć się z Napoleonem.“

Wiemy już z opowiadania, że książę Józef chwilowo zatrzymał się z wojskiem w Wolborzu, miasteczku o dwie mile oddalonym od Piotrkowa, i że wysłał ztamtąd swego oficera z rozkazem do komendanta twierdzy w Zamościu.

Otóż nazajutrz, szykując się do marszu w dalszą drogę, przywołał majora Józefa Aksamitowskiego, nieodstępного swego przyjaciela, sekretarza i skarbnika, wyrażając obawę, czy aby z porucznikiem Leszczyńskim nie stanie się jaka przygoda gdzie w drodze, i czy rozkazy dojdą rąk właściwych, motywując swą obawę, jakimś złem przecuciem.

Aksamitowski, jak mógł, tak uspokajał

księcia, aby się zbytecznie nie troszczył, gdyż poręcznik ten jest człowiekiem, który nawet w najbardziej krytycznej chwili potrafi sobie poradzić.

Tymczasem po owym napadzie na wieś Starą, z pod żłobu w stajni, gdzie stały konie ułanów, wypełz zraniony w policzek kulą wachmistrz Krawczyk, smutnie spojrzął na leżących we krwi pobitych towarzyszków, poczem zrobiwszy nad nimi znak krzyża świętego, jał ostrożnie wychodzić na podwórze i podobnie, jak lis osaczony psami, wychodząc ze swej kryjówki, bacznie rozglądał się na wszystkie strony, czyli mu nie grozi jakie niebezpieczeństwo.

Z przestrzelonego policzka płynęła mu obficie krew, a blada jego twarz, dowodziła, że cierpiał bardzo. Podpierając się na pałaszu stary wachmistrz wszedł do dworu. Tu było pusto i głucho. W czeladniej, w kuchni i w pokojach, przez które szedł były poprzewracane sprzęty, a zapach spalonego prochu, oraz kłęby dymu unosiły się tumanami po całym domu.

„Boże,— rzekł sam do siebie Krawczyk, zabili go, czy też schował się gdzie, lub czy wzięty do niewoli?”

Z temi słowami doszedł do pokoju, w którym miał kwaterę jego porucznik. Prowadzące tutaj drzwi były wyrwane z zawias i w części porąbane, a obok nich leżały rozciągnięte dwa trupy kozaków. „No i tu go niema? biedny porucznik, to już w takim razie wzięty do niewoli, a żeby go tylko gdzie nie zmarnowali, boć uciec nie będzie miał chyba możności.“

W chwili, kiedy wachmistrz tak do siebie mówił, do pokoju tego wszedł dziedzic, który wydostawszy się ze swej kryjówki w czworakach, pierwszy przyszedł zobaczyć wyrządzone w mieszkaniu straty, te jednak na tem tylko polegały, że narobiono nieporządku, lecz nic nie zabrano, z czego można było wnioskować, że szukano tylko wiezionego przez sztafetę rozkazu.

W pierwszej chwili dziedzic oczom swym nie chciał wierzyć zobaczywszy wachmistrza, miał go bowiem za niechybnie zgubionego, sły-

sząc rozlegające się strzały w oborze.

— „A wy co tu robicie panie wachmistrzu?“
zapytał.

— „To co każdy by robił na mojem miejscu panie dziedzicu“, odrzekł Krawczyk spoglądając smutnie, a ze znacznego widać upływu krwi opierając się o wywrócony stół.

— „Jakże to, darowali wam życie?“ — pytał zdziwiony ciągle dziedzic.

— „Hm, byliby może i nie darowali, ale ja zaraz po pierwszym do mnie strzale, choć rozumu nie straciłem, to zaraz, na ten przykład buch do góry nogami pod żłób i musiałem udać, że to niby dusza ze mnie wyleciała, a choć nie ze strachu to zrobiłem, bo jeszcze tego w świecie nikt nie słyszał, żeby się ułan polski czego obawiał, ale takżem sobie wtedy pomyślał: dla tych papierów co mi porucznik kazał w zanadrze schować, trzeba udać, żem już zabity, bo na wypadek śmierci porucznika musi je przecie kto wedle rozkazu do rąk należnych odwieźć.“

„Nie kwapiłem się też biedz na pomoc swemu naczelnikowi, bo mi zaraz wyraźnie przed oczami stanął paragraf wojenny: gdy potrzeba dla dobra ojczyzny wymaga, to i generała trzeba poświęcić, na to rady niema. Bez jednego oficera wojna być może, a ze straconego rozkazu, to się takiej biedy może naważyć, że i w samem piekle kotłów na nią braknie. Że zaś boli mnie starego serce, jakożem stracił drogiego pana, który mi droższy od rodzzonego ojca, to zupełnie co innego; będę prosił choćby samego generała dywizyi, aby mi szukać pozwolił to biedne moje paniątko. Boć to przecie mój dobrodziej, mój wybawca od śmierci, kiedym w bitwie pod Borodino ranny w bok spadł z konia, i do tego łbem tryknał o koło przejeżdżającej armaty, to on przez dwa tygodnie dźwigał mój stary szkielet i przenosił na własnych rękach z pryczy na pryczę.

— „No, ale papiery macie panie wachmistrzu i nie zginęły Bogu dzięki.?”

— „Adyć mówię, że są u mnie w zanadru; nasz porucznik nie był w ciemię bity, kazał żebym ja je miał przy sobie, bo to powiada: dyabeł nie śpi, jeszcze kogo naprowadzi, a z pewnością, ten co by je chciał odebrać, przyczepi się do oficera i koło niego będzie szukał.

„Papiery, ciągnął dalej wachmistrz, dojdą tam gdzie należy, jakem wachmistrz, ale to biedne paniątko dopiero się martwi, jeśli go gdzie na pytki biorą, żeby się nie zaprzepaściły, i więcej z pewnością to go boli, jak zadawane mu dęczarnie, ciągnął dalej Krawczyk. Nagle spojrzawszy na zegar, wykrzyknął, „Boże Wszechmogący, a toć to 4-ta godzina, komu w drogę temu czas, trzeba sypać dalej, jeno będę prosił bardzo pana dziedzica, żeby choć temu co krowy leczy, kazał opatrzeć mi pysk, bo bardzo boli. „Ależ to się rozumie“ odrzekł szlachec.

W tej właśnie chwili weszła dziedziczka z panną Zofją, której widocznie nie tyle chodziło o rozrzucone meble, ile że dowiedziała się już od zebranych gapiów naokoło dworu, iż porucznika

zabrano do niewoli.

Młode dziewczę zaledwie kilka godzin obcować z pięknym młodzieńcem, jednakże ten pozostawił w jej szlachetnej duszy to uczucie, jakie rozpoczyna prawdziwą miłość. Wszystkiem przeto gorąco się interesowała, pytała wachmistrza, kto są rodzice porucznika, gdzie mieszkają, aby im dać znać o tem, i czy niema jakiego sposobu wybawienia go z rąk kozaków. Ale Krawczyk na wszystkie pytania odpowiadał przecząco, że teraz na razie mowy być nie może o odebraniu niewolnika i że nic niewie o stosunkach jego rodzinnych, gdyż młody porucznik dwa lata dodiero razem z nim służył i nigdy nie widział, żeby kto do niego przyjeżdżał z rodziny, choć pomiędzy szwadronem krąży wieść, jakoby ród swój wywodził może lepiej jak z hrabiowskiego domu.

A co to jest za dobry pan, a jaki uczciwy, a jaki szlachetny, jaki mądry, to chyba w całej dywizyi podobnego trudno znaleźć. Co dzień, po skończonych zajęciach szwadronu, gdy mu

odnoszę sporządzony przezemnie raport, to starego zawsze dobrem słowem przywita i pożegna,—ciągnął dalej wachmistrz. A jak co zrobić po jego duszy, to i parę złotych nie pożałuje, bo pieniądze zawsze ma, i to grube, gdyż mu ich jakiś pan co kwartał z Poznania bardzo dużo przywozi, przez to i na żołąd nie patrzy, jeno przeznaczą na chorych żołnierzy, sam go do banku odnoszę co miesiąc łącznie z wieczną gratyfikacją, którą pobiera od francuskiego dworu od czasu bitwy pod Smoleńskiem.“ Po tych słowach Krawczyk skłonił się dziedzicowi, oraz podziękował panie Zofii za opatrunek, który mu zrobiła podczas tej rozmowy i już się zabierał do wyjścia.

—„No, a jakże to piechotą chcecie panie wachmistrzu w drogę ruszać, zapytał dziedzic, a toż nato nie pozwolę. Bogu dzięki nie zabrali mi kozacy koni i myślę że się znajdzie jaki, co się przyda na służbę wojskową.“ W kilka chwil później wachmistrz odjechał, a ponieważ droga wypadła mu obok karczmy, więc wstąpił

wypić manierkę, aby pokrzepić siły w dalszą drogę.

Już było słońce zaszło na dworze, brał na noc mróz, który też ściągał wieśniaków do karczmy na rozgrzywkę. Z gawędy chłopów w karczmie wachmistrz dowiedział się, że na małą godzinę przed napadem na dwór wypadł z karczmy jakiś pan, i tak ostro pędził bryką przez wieś, że o mało ratajowej nie przejechał.

Usłyszawszy to Krawczyk zapytał żyda, jak wyglądał ów przejezdny, poczem, zwracając się do obecnych przemówił:

„Słuchajcie arendarzu i wy dobrzy gospodarze, jak się przypadkiem zjawi ten pan jeszcze raz na wsi, to go odstawić do twierdzy w Zamościu, tam was za to czekać będzie duża nagroda.“

Krawczyk prawie był pewien, że to Muszyński, gdyż z opowiadania żyda dowiedział się również, że ten miał olbrzymią brodawkę na twarzy, akurat w tem miejscu co i tamten.

Po opuszczeniu karczmy przez wojaka, znajdujące się tam chłopstwo przysiadło do

stołów i poczęło gawędzić o napadzie na dwór i o wynagrodzeniu, które na wypadek pojmania Muszyńskiego na wsi lub w okolicy, ma być wypłacone w fortecy, do której choć i daleko było, jak i do pojmania szpiega, to przecież znajdowali się i tacy, którzy na ochotnika postanowili wybrać się w lasy i szperać.



IV.

W dalszym postępowaniu polskiego korpusu, niema nic ważniejszego do zanotowania, jak chyba tylko to, że w Piotrkowie, dnia 12 lutego poczyniono zakup kilkudziesięciu koni, mających służyć później dla nowo zorganizowanych pułków polskich w Krakowie.

W Częstochowie naczelnny wódz składa hołd Matce Boskiej na Jasnej-górze, przyczem szepcząc gorącą modlitwę łzy miał w oczach. Dnia 16 lutego, o 11-ej z rana, krótki tylko robiąc przystanek w Olkuszu, Poniatowski wprowadził wojsko do Krakowa. Tutaj od pierwszego dnia wódz polski zaczął gorączkowo dalszą organizację armii,

wśród okropnych warunków, gdyż będąc okrążony austryjakami, gotującymi się do zrzucenia maski, narażony był na niebezpieczeństwo z jednej strony, z drugiej przez ścigających go rosjan, a z trzeciej miał ustawiczne zmartwienie z powodu bardzo małej ilości nadciągających ochotników, gdyż część społeczeństwa polskiego przestała wierzyć w odrodzenie sławy Napoleona i zupełnie zrozpaczona opuściła ręce. Trudne do wyjścia położenie, z każdym dniem zwiększało się, a w drugiej połowie marca miało dojść do trudności ponad wszelki wyraz, teraz bowiem felmarszałek Fridmont, dowodzący stojącym wtedy pod Krakowem 3 korpusem austryackim, działając na wzór Szwarcenberga, rozpuścił pogłoskę, że rosjanie okrążyli jego korpus, i, że nie czując się w możności stawić im oporu, odstąpi za Wisłę, czem rzecz prosta, dalszy opór Poniatowskiego starał się uczynić niemożliwym.

Choć narazie kłamliwe te wieści nie przstraszyły doświadczonego już na Szwarcenbergu ks. Józefa, to jednak w rzeczy samej w począ-

tkach kwietnia 1813 roku, nad granicą austryjacką skoncentruje się kilkakrotnie liczniejsza armja rosyjska pod dowództwem Sackena, wzmocniona przez ciągłe posiłki z Rosyi, a dochodząca do 50,000 dobrze wyćwiczonego żołnierza, zachęconego pogromami armii francuskiej, a przytem posiadająca do takiej doskonałości doprowadzoną amunicję, o jakiej polacy, ani nawet austryjacy nie mogli marzyć; podczas bowiem, gdy biedny nasz naród ogołocony prawie doszczętnie przez ustawiczne wojny, jeszcze ciągle dręczony i ze wszystkich stron skubany nie mógł pomyśleć o bycie materjalnym, w Rosyi potworzyły się już ogromne kapitały, które bezustannie napływały do kas ich korpusów.

Miał wprowadzić pewne fundusze i Poniatowski, ale nie mógł nimi szafować zbyt, gdyż trzeba je było zachować na mogącą wybić czarną godzinę.

Po usilnej, niez mordowanej pracy organizacyjnej, Poniatowski skojarzył 14,000 armję, 20 armat i amunicji za ledwie na kilka godzin

dobrego ognia.

Z jakich pułków składało się ostatecznie wojsko polskie i jaka była ich numeracja, powiemy pod koniec opowiadania, gdyż armja polska do rozpoczęcia krwawych bitew, stoczonych z godną podziwu całego świata walecznością, choć bardzo powoli, to jednak ciągle wzrastała. Pomijam tu także w tej chwili o wojsku polskiem, zo stawionem dla obrony Księstwa Warszawskiego i podkreślenia swej samoistności, które zamknęło się po twierdzach, a które też miało w przyszłości przeżyć nie jedną ciężką chwilę



V.

W kwaterze komendanta twierdzy w Zamościu gwaro i ludno, ed umundurów oficerskich bije łuna, słyhać co raz to świeże skrzypnięcie drzwi i brzęk ostróg nowo wchodzących oficerów. To narada wojenna, która odbywa się w każdą sobotę o stanie fortecy i taktyce jej bronięcia.

W olbrzymiej sali jedni spacerują, prowadząc ożywioną rozmowę, inni przeglądają plany fortecy i pobliskich okolic.

Na zegarze wieżowym wybiła godzina szu sta wieczorem, czyli ostateczny termin oznaczony na zebranie się.

Echo tego dźwięku rozlegało się jeszcze, gdy do sali wszedł poważny komendant, generał Maurycy Hauke. Wnet gwar ucichł, żebyś i przelatującą muchę usłyszał, i wnet rozległ się głos dyżurnego oficera: „Baczność panowie oficerowie“.

Wypowiedziawszy te słowa dyżurny stanął przed generałem, poczem wyprężony jak struna zaraportował. „Objechawszy naszą fortecę i jej okolice w granicach oznaczonych, dyżurni: porucznik, feldfelbel i kanonier z 4-go fortu, donieśli mi, że na drodze prowadzącej ze Sczebrzeszyna na 3 wiorście od fortecy, znaleźli zranionego w tył głowy i we krwi broczącego porucznika 6-go pułku ułanów, który jest nieprzytomny i znajduje się obecnie w szpitalu, w forcie № 2.

Bystre oczy komendanta jeły szybko poruszać się w swej oprawie, nic nie mówiąc, stał tak chwilę, jakby gromem rażony, wreszcie oprzytomniawszy przemówił sam do siebie tonem wyrażającym niepokój: „Czy się czasem nie

stało co złego z armją ks. Józefa, i czy ów oficer nie wiozł właśnie strasznej do mnie nowiny,?—tu zwrócił się do dyżurnego.

„Patrzano, czy nie miał jakich papierów?“

—„Owszem, panie generale, lecz nie przy nim nie było, nie miał także żadnej broni—dodał zapytany.

—„Muszę sam zobaczyć co się święci“, rzekł do obecnych podniesionym głosem komendant, a wobec tego posiedzenie na godzinę odkładam.“

W szpitalu w forcie № 2 w oddzielnym pokoju, stoi tylko jedno łóżko, na którem leży znaleziony pod fortecą porucznik 6-go pułku ułanów. Do pokoju tego co chwilę wchodzi dyżurny felczer z siostrą miłosierdzia, śledząc stan zdrowia chorego, który bredzi w gorączce i dotąd nie odzyskał jeszcze przytomności.

—„Boże,“ mówi zakłopotana siostra Anna do felczera, czy aby mózg nie zajęty?“

— „ Zdaje się że nie,“ odrzekł przecząco doświadczony felczer, gorączka silna co prawda, ale rana na głowie pokazuje, że nie jest świeża,

chory musiał ją otrzymać wczoraj, albo najpóźniej dziś rano, a z tego można wnosić, iż jechał jeszcze na koniu, lub szedł piechotą przez parę godzin, jest tu zatem wyczerpanie sił, wywołane znaczną utratą krwi, tem bardziej, tak przypuszczać należy, gdyż czaszka nie jest pęknięta, lecz tylko mocno zadraśnięta, jak się zdaje kulą karabinową.“

—„Tego samego zdania jest doktor,“ rzekła uspokojona siostra Anna.

Gdy taką rozmowę prowadzą ze sobą, w korytarzu dał się słyszeć brzęk ostróg, a po chwili drzwi do pokoju gdzie rozmawiali otworzyły się i wszedł komendant fortecy, okrążony kilkoma oficerami z ordynującym doktorem Staniszewskim.

—„No jak tam chory?“ zapytał Staniszewski felczera, czy nie odzyskał przytomności?“

—Nie panie doktorze, ani na chwilę, odrzekł zapytany. Tu doktor wzięwszy chorego za rękę, rzekł zwracając się do komendanta: „Puls znacznie lepszy, gorączka też mniejsza i spada widocz-

nie, niezadługo odzyska przytomność, trzeba tylko dać organizmowi wypoczynek, przypuszczam, że nie upływie godzina, a będzie się można z nim rozmówić.“

—„Ależ konieczna jest z nim, choćby taka rozmowa, jaka określiłaby, kto go przysłał do Zamościa, i po co, gdyż są już niektóre dane, że wiozł raport na koniu jakiegoś kozackiego oficera, który widać wyrzucił go z siodła, tylko zagadka skąd wziął tego konia,“ zauważył komendant.

—„Nie znam się dokładnie na umiejętności jazdy, ale to mogę śmiało za opiniować, iż rana chorego pochodzi nie od stłuczenia, lecz od kuli karabinowej wtrącił znowu swoje zdanie doktor.

—„Acha rozumiem,“ rzekł, uderzając się palcem w czoło komendant. Wiozł raport zapewne od ks. Józefa, w drodze został pochwycony przez nieprzyjaciela, o którym pewnie nie przypuszczał, że się może znajdować w tych stronach, a przez to wpadł w pułapkę; następnie zaś udało mu się dosiąść konia kozackiego oficera,

no i drapnął im. Ztąd też wynika, że za uciekającym strzelano, przytem jedna z kul zawadziła go po głowie, że zaś to musi być rogata dusza, o tem wątpić nie należy, gdyż inaczej zwałyby się zaraz z konia, a nie dopiero pod Zamościem.



Nie upłynęło i pięciu minut po tym wywnioskowaniu generała, chory poruszył się na posłaniu, poczem otworzywszy oczy wypowiedział

pierwsze słowo, patrząc na otaczających, a biorąc ich widocznie za nieprzyjaciół, „oświadczam stanowczo, że wolę śmierć, niż zdawanie relacji nieprzyjacielowi... a szpiegu, psie podły, pamiętaj, że jeżeli żyw ztąd wyjdę, to cię wszędzie znajdę.

Po tych słowach chory znów stracił przytomność.

Jeden z oficerów pośpiesznie zanotował na kartce papieru słyszane słowa, następnie zaś generał i jego swita zadowoleni i tem oświadczeniem rannego, opuścili szpital, wracając na przerwana naradę, na której miała być teraz na pierwszym planie omówiona kwestja przejętego przez nieprzyjaciela raportu.

Już było około ósmej wieczorem, kiedy przed domem komendanta twierdzy zatrzymał się koń, na którym siedział niemłody, już ułan z oznakami wachmistrza.

Przybyły oddał konia stojącemu szyldwachowi, poczem poprawił bandarza na twarzy, i wydobywszy jakiś pakiet z zanadrza, śmiało

otworzył drzwi prowadzące do mieszkania komendanta.

Nie zdejmując giweru z głowy, owszem bardziej jeszcze przycisniawszy go na czoło, wachmistrz pokazał pieczęć ks. Józefa wartującemu w korytarzu żołnierzowi, aby uzyskać przejście, poczem wszedł prosto do sali, w której właśnie, jak mówiliśmy przedtem, toczyła się rada wojenna. Zerwali się natychmiast oficerowie ze swych miejsc zobaczywszy ułana, a odebrawszy od niego raport, oddali siedzącemu na prezydującem miejscu generałowi.



VI.

W chwili, kiedy książę Józef Poniatowski, jak wiemy już z opowiadania zajmuje się tak trudną organizacją swej armii, ks. Adam Czartoryski przysyła do Krakowa radcę stanu Linowskiego i prokuratora Szaniawskiego i wielu innych wymownych pośredników, aby spróbować raz jeszcze przekonać i odciągnąć wodza polskiego od połączenia się z armją Napoleona. W początku marca wręczają mu nawet własnoręczne pismo monarchy Aleksandra I adresowane do Czartoryskiego, w którym Cesarz radził pozostać w Warszawie, z zapewnieniem dość ogólnikowem („nie będą tego

żałowali.“) Teraz jednak, jak pojmował wódz polski, nie było już czasu zastosować tą radę, tak bowiem postąpiwszy nie tylko nie zabezpieczonoby interesów Polski, lecz nawet i interesów Aleksandra I, a tym sposobem działano by rzeczywiście tylko *Pour le roi de Prusse*.

Tym czasem, jednocześnie z temi radami, austryjacy z powodu tajemnych rokowań, już wtedy myśleli, czy nie lepejby było dla ich interesów, zaatakować zniemacka i doszczętnie zniszczyć wojsko polskie.

Dziwić się doprawdy należy, w jaki sposób wódz polski mógł wśród tak trudnych warunków, usuwać wszelki materiał wybuchowy od palącej się głównej, i aż półtrzecia miesiąca przebyć w Krakowie.

Na szczęście, jak od początku, podczas zdrady Szwarzenberga pod Warszawą, nie zgodził się w niej pozostać, tak też i teraz wyczuwając szlachetnym instynktem ostateczną swą zgubę, stanowczo odrzucił myśl natarczywej pertraktacji dążącej do

rozbrojenia swej armii. A kiedy w ostatnich chwilach pobytu w Krakowie, podsunął mu propozycję rosyjskiego generała Sackena, znów tycząca się rozbrojenia wojska, wódz polski wpadnie w gniew, wymawiając: „Niedopuszczę do tego, aby traktowano mnie, jako naczelnika górów kaukazkich, lub dagestańskie książątko.“

Dla dopełnienia miary nieszczęść, ujrzał się wódz polski zachwianym przez własnego monarchę, gdyż Fryderyk August, wystraszony dotychczasowymi niepowodzeniami Napoleona, zaczął robić układy z dworem Wiedeńskim o wydanie Księstwa Warszawskiego, byleby tylko wyratować Saksonję z pod ręki pruskiej. Miało to ten skutek, że król saski i ks. warszawski w jednej osobie, zawarł umowę z dworem Wiedeńskim, zalecając przejście korpusu polskiego przez Austryję, która później przy likwidacyi długów Księstwa, pretensyi swoich z tego powodu zaliczyć nie omieszkała.

Gdy Fryderyk August tak działa, przeciwne rozkazy odbiera Poniatowski od Napoleona,

zakazując mu poddawać się rozbrojeniu przez austryjaków.

Zaiste, w pradziwie krzyżowym ogniu różnych zapatrywań stał Poniatowski, gdyż nie można pominąć i tego, że z Warszawy przyjechał do niego jeden z księży Bernardynów wysłany od „patryotów,” prosząc go, aby jaknajśpieszniej wracał do Księstwa, i tu wraz ze znajdującymi się wojskami polskimi, a także z pospolitem ruszeniem, zaczął akcję przeciw Rosyi na własną rękę.

To znowuż ks. Antoni Czartoryski nasyłał ustawiczne listy pod adresem ks. Józefa, aby tenże nie robił sobie z ustąpienia austryjaków i nie ruszał się z Krakowa, a spokojnie tam pozostał i oczekiwał dalszych wypadków.

Nie skończyła się jeszcze na tem próba rozbrojenia armii: stary przyjaciel Poniatowskiego ks. Antoni Radziwiłł przysłał serdeczny list prosząc go o prywatne widzenie się za miastem.

Nie przypuszczając o co chodzi, a nie będąc w stanie wyjechać poza obóz polski, Ponia-

towski odpisał, zapraszając go do Krakowa.

Tymczasem Radziwiłł przyjechał nie z powodu osobistego interesu, lecz z misją polityczną. Tu najpierw namawiał do porzucenia sprawy Napoleońskiej Zamojskiego, wice-prezesa konfederacyi i ministra Mostowskiego, przekonywał ich niezbitemi zda się argumentami o przegraniu sprawy; udał się następnie do ks. Józefa, od którego jednak otrzymał stanowczą odmowę. Naraził się przytem na nieprzyjemne skutki, gdyż minister pełnomocny francuski, Bignon, dowiedziawszy się o czynnościach Radziwiłła, kazał go swym żandarmom aresztować i nie wiadomo, jak by się skończyło, gdyby nie szlachetny ks. Józef, który całą winę przyjął na siebie i uwolnienie Radziwiłła uzyskał.

Tymczasem po całym Księstwie Warszawskim biegają konini, jedni od stowarzyszenia patryotów, drudzy od ks. Czartoryskiego i Radziwiłła, inni zaś z obozu ks. Józefa, roznosząc proklamacyje wzywające polaków: pierwsze

do natychmiastowego chwycenia za broń, przeciwko napływającym do kraju wojskom rosyjskim, drugie odciągając od wszelkiej zaczepnej akcji, trzecie zaś, a pochodzące z obozu ks. Józefa, mówiły o werbunku ochotnika, dla powiększenia armii Napoleona.

Z powodu tego zamętu wybuchają różne niesnaski wśród obywatelstwa, pomiędzy którem często przychodziło do pojedynków. Prawdziwie mądre przysłowie: „gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść“ tembardziej może być zastosowane do obecnej chwili, gdyż polacy teraz, jako owce bez pasterza oddani byli na pastwę losu i zniszczenia.



VII.

Przed dworzec w Starej zajeżdżają karety i pojazdy, z których co chwila wysiada szlachta, dążąc pod strzechę dobrze znanego nam już dziedzica, na sejmik. Przybyli więc: pan Kondaki z Dobiesławic, pan Drzewiecki z Kijan, pan Wenda z Gartatowic, sędziwy i poważny pan Chwalibóg, o którym tyle tylko wiemy, że pochodził z Kieleckiego i wielu innych w celu omówienia sprawy, kogo właściwie słuchać i czyje, krążące po kraju proklamacje, przyjąć pod uwagę.

Biegły w tłumaczeniu politycznych zagadek obywatel ze Starej, mając niegdyś jeszcze dość

znaczny majątek w Kieleckiem, uchodził pomiędzy swymi sąsiadami za doradcę w każdej ciężkiej sprawie, do niego też teraz przyjechali po radę.

Zaczęła się więc między zebranymi dysputa, która się ciągnęła do późna w nocy i skończyła się postanowieniem, że Kieleckie i Radomskie powiaty bezwarunkowo będą dążyły do zwerbowania ochotników i do odesłania części z nich księciu Józefowi, części zaś pozostawienia w kraju i złączenia jej z wojskiem, znajdującem się w fortecach księstwa.

„Wszystko dobrze, rzekł w zakończeniu sędziwy pan Chwalibóg, mając za rękę swoją batorówkę, — a w którąż stronę my zwrócimy swoje karabele, gdyż baczenie panowie, że w dniu, kiedy wojsko i pospolite ruszenie siłą oręża będzie dochodziło do bram wolności kraju, nas po dworach zamkną, niby żółwi w skorupach, więc czas i o tem pomyśleć, gdyż nieprzyjaciół na karku.“

— „Brawo! w sedno trafił“ — podchwycił

Wenda, któremu oczy zaiskrzyły się na widok spoczywającej ręki Chwaliboga na głowni karabeli.

— „Ależ pozwólcie, moi panowie,“ odparł poważnie dziedzie ze Starej, „nam wypada po skończonej pracy organizacyjnej zamknąć się w fortecy.“

— „Oczywista rzecz w Zamościu“ — przerwał Chwalibóg, „jako w twierdzy, w której jest komendantem dzielny polak Hauke, nie zaś w Modlinie, gdzie dowodzi jakiś tam generał holenderski, Döndell, jak już słyszeliśmy, objętą sprawę polskiej.“



VIII.

Łatwo zrozumieć, jaką była radość Krawczyka, gdy się dowiedział, że porucznik jego wyrwał się z rąk kozaków i znajduje się teraz w zupełnie bezpiecznem miejscu. Zdawszy relację komendantowi fortecy o całej sprawie, poczynając od spotkania napadniętych obywatelstwa w lesie, a kończąc najściem kozaków na dwór w Starej, udał się natychmiast odwiedzić Leszczyńskiego. Tu wachmistrz z prawdziwą troskliwością zajął się rannym, który wpradzie przytomność teraz odzyskał, lecz był bardzo wyczerpany.

„Wasza mość,“ rzekł pewnego dnia Kraw-

czyk do chorego „stary myślał, że już nigdy nie zobaczy swego pana, że już nigdy nie usłyszy słów jego przed szarżą: „4-ty oddział za wiarę i ojczyznę, marsz! Mój ty Boziczku, a cóż by na to powiedziała cała komenda, toć chyba wyli by tylko na mnie żem ja porucznika zmarnował, nie wiedząc o tem, że taka była wola Boża, aby wasza mość pokazała starszyźnie co potrafi, i przez kogo to z wojennemi papierami trzeba sztafetę wysyłać.

— „Będziesz mi tu stary milczał, a tobie co do tego jak ma postępować starszyzna rzekł żartobliwie porucznik; „tak wychwalasz naszą sztafetę, a sam jak słyszałem do protokołu wniesłeś, żeś jeno jednym okiem z pod żłobu wyglądał, czy to prawda? ale opowiedz no mi jak to było.“ Tu wachmistrz, poruszywszy obrzymbiemi wąsami z zadowolenia, zapytał:

„Jakże Wasza mość rozkaże abym opowiedział raportem, czy też tak sobie, jak to do swego pana; choć przyznam się, że wolałbym raportem, bo w tym wypadku, to człek nic nie

zełże, a jakoś lepiej się wygada.“

—„Mów jak chcesz, jeno pamiętaj, że, jak dojdiesz opowiadaniem do owego żłobu, gdzieś się schował, tak cię zaraz tą butelką od lekarstwa zbombarduję.“

„Wasza mość, jakże mogę raportować o tem żłobie, kiedy dyscyplina wojenna rozkazuje: raportój w krótkich słowach, a omijaj to o czem jesteś przekonany, że starszyczna wie, a mów tylko o wiadomościach nowych.

—„Tak masz rację, ale jak [starszyczna każe jeszcze raz powtórzyć“—rzekł uśmiechając się porucznik.“

—„Ano, chyba że każe, to na to rady niema. Było zatem tak: siedzę w stajni i mówię do komendy, chłopcy, czy macie wszystko gotowe, bo tylko porucznik wstanie, to zaraz pojedziemy. Ledwie jednak zdążyłem to wymówić, a tu na podwórzu hałas się zrobił, jakby fura djabłów przyjechała.

Zrazu myślałem, że to może stadnina dworska wybiegła ze stajni, i mówię: Więciorek zo-

bachno co tam dzieje się na dziedzińcu? Idzie tedy do drzwi, aż tu naraz pęc! pęc! rozlegają się strzały i Więciorek, trach, kładzie się na ziemię. Zanim zdążyłem porwać za pałasz już z naszych nikogo niema przy życiu, i już sam odbieram kulą w pysk. Zamroczyło mnie, jeno że nie zewszystkiem, bo potrafiłem jeszcze tak sobie pomyśleć: wszystko jedno, możebym sprzątnął ze dwóch, ale raport pierwszy, schowałem tedy ten apetyt na później a sam... przy tych słowach wachmistrz spojrział na butelkę z lekarstwa.

— „Słuchaj stary, dobrześ się sprawił, jak wrócę do obozu — 50 złotych, jak jeden grosz, czeka na cię. Wiedziałem zawsze żeś nie gapa, ale nie przypuszczałem, że ci się tak uda,

A skądżeś to wziął szkapy na drogę ciągnął dalej porucznik, gdyż konie sztafety wszystkie uprowadzono?”

— „Hm, skąd wziąłem, wasza mość pyta? ano od tego pocziwego szlacheica, jeno o to mniejsza. Myślałem, że wasza mość spyta mnie, kto mi pysk opatrzył? bobym odpowiedział, że ta pa-

nienka ze dworu, córka szlachcica, która kazawszy sobie opowiadać o waszej mości o mało nie płakała z żalu, że to niby kozacy zabrali waszą mość do niewoli. „Chciał jeszcze mówić dalej wachmistrz, ale porucznik przerwał mu raptownie, jak gdyby w tej chwili coś sobie przypomniał.

— „Słuchaj Krawczyk—jeżeli komendant, pod którego dyspozycją jesteśmy teraz, każe ci wracać do obozu, to ci dam pismo do Starej, jeno pamiętaj żebyś go samej panie Zofii oddał, rozumiesz?“

— „Wedle rozkazu, odrzekł wachmistrz, ruszając z zadowoleniem wosami.

— „Ja nie pojedę jeszcze, bom bardzo osłabiony i na szkapie nie utrzymam się,“—mówił dalej porucznik, przy tych słowach zamyślił się głęboko. Przed jego oczami wyraźnie stanął obraz dziewczęcia z ostatnich chwil wtedy właśnie, kiedy zapraszając go do śniadania, spojrzała nań tak badawczo, tak tajemniczo, a przytem tak mile.

Tu kazał Krawczykowi podać sobie materiały piśmienne, poczem aczkolwiek powoli, i drżąca z osłabienia ręką, to jednak skreślił list do Zofii pełen tych słów, jakie zwykle są pisane pod wrażeniem rozpoczynającej się miłości.

W dwa dni później odjechał Krawczyk z pokwitowaniem doręczonych papierów, przy czem komendant kazał mu wracać tąż samą drogą, gdyż uważał ją za najbezpieczniejszą.

Tym czasem z każdym nadchodzącym dniem chory czuł się lepiej, a nawet wstawał często z łóżka, dla przechadzki po pokoju.

W pięć dni po wyjeździe swym z Zamościa, Krawczyk przyjechał do Starej, gdzie zatrzymał się dla wręczenia listu adresowanego do panny Zofii, a następnie odpocząwszy dzień cały, wyruszył w dalszą drogę, za śladami wojska polskiego, które bez żadnych przeszkód zastał w Krakowie.

Kilka już razy książę Józef wyrażał przed Aksamitowskim obawę względem sztafety, któ-

ra wysłał do Zamościa, że zadługo nie przyjeżdża z pokwitowaniem, lecz ten zawsze potrafił księcia uspokoić, tłumacząc, iż to straszny kawał drogi, gdyż z górą sto kilkanaście mil, licząc w obydwie strony, i że oddawszy papiery oszczędzają koni w powrotnej drodze, a dla tego też nic dziwnego, że do tego czasu niema o nich wiadomości.

Pierwsze kroki po swym przyjeździe wachmistrz Krawczyk skierował do kwatery księcia Józefa. Jednak nie poszło tu tak gładko, gdyż książę przypisawszy niedozór nad sztafeta, kazał ogłosić w rozkazie dziennym, że porucznika Leszczyńskiego po wyzdrowieniu i po przyjeździe do szwadronu aresztuje na 15 dni odwachu, wachmistrza zaś na 2 tygodnie i miesiąc dyżurstwa niezależnie od dnia, w którym mu takowe przypada, uwzględniając, że papiery nie zaginęły, gdyż w przeciwnym razie, tak porucznik, jak i wachmistrz, zostaliby skazani na bezwarunkowe rozstrzelanie.

Aksamitowski błagał księcia, aby darował

podświadnym winę, ale ten tak był rozżalony utratą dziesięciu ludzi, że natychmiast podpisał swe postanowienie i jeszcze tego samego dnia Krawczyk został zamknięty w areszcie pułkowym.

W jednej z kamienic krakowskich znajduje się klub oficerów polskich, do którego codziennie wieczorem po skończonych zajęciach, chodzą towarzysze broni na pogawędkę, a często i na kolację wyprawianą ze szkatuły ks. Józefa.

Na takiej kolacyi bywa także i sam książę, szukając odpoczynku po całodziennej pracy. Otóż właśnie w dwa dni później po podpisaniu postanowienia, dotyczącego się skazania na areszt porucznika Leszczyńskiego i wachmistrza Krawczyka, książę przez Aksamitowskiego zaprosił wszystkich prawie oficerów piechoty, artyleryi i kawaleryi na zwykłą kolację.

Zazwyczaj na takim zebraniu urządzano gry niehazardowe, deklamowano wiersze różnej treści i wogóle uprzyjemniano sobie czas w możliwy, a przewidziany w ustawie wojennej sposób.

Zebrali się i teraz wszyscy, a pijąc zdrowie naczelnego wodza winszowali mu, aby armja jego zawsze miała, tak dzielnych oficerów, jakim jest porucznik Leszczyński.

— „Acha,“ — rzekł uśmiechając się pocziwy książę, „chcecie anarchją zmusić mnie do darowania mu winy, otóż zrobię to, gdyż wiecie, że kocham was całą duszą, ale baczenie, że rozkaz podpisany, zatem sam za winnych będę musiał odsiedzieć kozę.

Gdy książę mówić przestał ze swego miejsca powstał porucznik 7-go pułku piechoty Chyliński z oświadczeniem:

— „W imieniu wszystkich kolegów śmiem oświadczyć Waszej Książęcej Mości, że przysięgamy na nasze bagnety, iż prędzej śmierć nam, niż, żeby wódz nasz drogi, miał w kozie siedzieć.

— „A my przysięgamy na ostre nasze pałasze, że jesteśmy tego samego zdania,“ rzekł z kolei, podnosząc się porucznik kawaleryi Urbański. „I my potwierdzamy to samo,“ ryknął artylerzysta, litwin Woropaj.

— „Więc tedy będziecie siedzieć waćpanowie z kolei, a tak więc, że jest was wszystkich na liście 240, zatem na każdego wypadnie po 1 godz. i 30 minut, czy zgadzacie się na to?”

Na znak potwierdzenia wszyscy jednogłośnie wykrzyknęli: „Wiwat! niech żyje nam nasz dzielny wódz!” Dla podkreślenia zgody orkiestra zagrała galopadę.

Książę, tak był przejęty tą ogólną solidarnością, że ze łzami w oczach ścisnął oficerów, poczem tak porucznikowi Leszczyńskiemu, jako i wachmistrzowi Krawczykowi karę umorzył.



IX.

Tymczasem z różnych stron Księstwa, zaczęli zjeżdżać do Zamościa ziemianie w celu zabezpieczenia tam swych kosztowności, jakie jeszcze posiadali. Spieszono także do większych miasteczek, gdyż na wsiach pozostać, to znaczyło wystawić się na kto wie jakie próby tego niepewnego czasu, mając już dowód nie tylko na jawnym nieprzyjacielu, lecz także na austryjakach, którzy niedawno ciągnęli przez Księstwo do Galicyi, a tak dali się we znaki, jak gdyby to była nie armja europejska, lecz dzika horda tatarów.

Nie omieszkał także i dziedzic ze Starej

zastanowić się, gdzie ma obrać więcej bezpieczne miejsce dla swej rodziny, tembardziej, że już zaczynały pokazywać się w około oddziały rosyjskie, lokując się po wsiach bławakami.

Tymczasem Zofja, dowiedziawszy się z listu, który jej wręczył Krawczyk, że Leszczyński wyrwał się kozakom i obecnie jako ranny w tej przygodzie znajduje się w Zamościu, w szpitalu, używała wszelkich sposobów, aby ojciec jej obierając miejsce schronienia na czas wojny, wybrał takowe w tem mieście. Jakieś dziwne uczucie ciągnęło ją do zobaczenia młodego porucznika i ta myśl nie opuszczała ją, ani na chwilę.

Ukrywszy się w swym pokoju po kilka razy dziennie odczytywała list Leszczyńskiego, a nad każdym wyrazem zastanawiała się głęboko.

Dlaczego on mnie tak interesuje? zadawała sobie pytanie, wszak pierwszy raz w życiu widziałam tego człowieka, a jednak zapomnieć o nim nie mogę. To jego poświęcenie się dla nas, a później omiał, że nie utracenie życia z powodu

napadu kozaków, wszystko to na chwilę nie daje mi spokoju. O jakże chciałabym widzieć tą szlachetną postać! Pisząc w swym grzecznym liście, nie wspomina o strasznych skutkach swego poświęcenia, oświadczając tylko, że dzień ten, w którym mnie poznał, uważa sobie za najpiękniejszą w życiu chwilę, że przy pierwszym spotkaniu z nami, będzie błagał o przebaczenie, że swoją osobą naprowadził na cichy nasz dworek rozlew krwi i zniszczenie. Tak rozmyślała pewnego dnia Zofja, patrząc w otwarte okno swego pokoju, gdy wtem przysła do niej matka, a lekko dotykając jej ramienia—z odcieniem żalu w głosie zapytała: „Zosieńko“, powiedz mi proszę, dlaczego od pewnego czasu nalegasz na ojca, aby nas wywiózł do Zamościa, toć wiesz chyba, jak trudno się tam dostać z powodu tak dalekiej drogi i mogącego nam zastąpić nieprzyjaciela, przytem chciałabym wiedzieć co za przyczyna, że jesteś ciągle zamysłona, że unikasz widoku nawet rodziców, którzy cię tak kochają?“

—„Mateczko, odrzekła poważnym tonem,

Zofja“ od kilku dni zbieram się pokazać ci list Leszczyńskiego, lecz bałam się, abyście z ojcem nie posądzili mnie o jakie nietaktowne postępowanie; przyznam więc się teraz szczerze, że jakieś przeczucie mówi mi, iż względem porucznika Leszczyńskiego mamy pewien obowiązek zważywszy, iż nieprzyjemność, która go spotkała pod naszym dachem, możemy przypisać tylko ojcu, który go koniecznie w gościnę zapraszał; przytem sumienie dyktuje odwiedzić go tembardziej, że, jak opowiadał wachmistrz człowiek ten niema blizkiej rodziny, któraby rzeczywiście, mogła zaopiekować się nim.“ Tu spojrzawszy na matkę, figlarnie położyła na jej ramieniu swe ręce szczebiocząc: „Nieprawdaż, że pojedziemy do Zamościa?“ Dziedziczka słuchała z uwagą tych słów córki, poczem całując ją w piękny policzek, rzekła: „dobrze córko pojedziemy, gdzie tylko zechcesz, sama przytem będę dążyła do tego, jeśli żądasz, aby was zbliżyć z sobą; partja to zresztą zupełnie odpowiednia dla ciebie.“

„Jak widzę, ciągnęła dalej, czytając wzięty od Zofii list Leszczyńskiego, on jest ogromnie tobą zajęty, a sądząc po jego zachowaniu się, urodzeniu i opowieści Krawczyka, w zupełności zasługuje na wiarę. Musimy jednak zamilczeć o tem przed ojcem i nie wspomnieć, że wachmistrz wracając z Zamościa wstąpił do Starej, jedynie po to, by wręczyć ci list Leszczyńskiego.“

W kilka dni po tej rozmowie Zofii z matką, dziadzie zdecydował się córkę i żonę odwiedzić do Zamościa, sam zaś wrócił do Starej, gdyż jak mówiliśmy przedtem, należał do stowarzyszenia obywateli, którzy zbierali młodzież dla powiększenia siły zbrojnej w kraju i w obozie ks. Józafa.

Po przybyciu do Zamościa Zofja ze swą matką zamieszkała w rynku, w prywatnem mieszkaniu burmistrza, gdyż wszystkie zajezdne domy, tak były zajęte, że nawet za dobrem wynagrodzeniem trudno było znaleźć przytulisko.

Już zaraz po ulokowaniu się szeptało mło-

dej dziewczynie serduszko, żeby zaleźć sposobność spotkania gdzie Leszczyńskiego, który czasami, jak się dowiedziała, wychodzi o lasce do miasta lub do kościoła na ranne nabożeństwo.

Tymczasem Leszczyński, już na drugi dzień zdążył dowiedzieć się o przyjeździe Zofii i jej matki do fortecy, i zaraz też zjawił się w ich mieszkaniu, zastając bohdankę swą przy robieniu jakiegoś bukietu ze sztucznych kwiatów. Sama była w domu, gdyż matka jej wyszła właśnie na pogawędkę do pani burmistrzowej.

Zapłonęły karminem policzki dziewczyny na widok wchodzącego Leszczyńskiego.

— „A pan porucznik! jakże szczęśliwe jesteśmy, że nas odwiedza tak miły gość,“ pierwsza odezwała się panna. Przy tych słowach spojrzała na młodego człowieka wzrokiem niekłamanego uczucia.

Pytaniom i odpowiedziom, zdawało się, że końca nie będzie, i tak dalece młodzi byli sobą zajęci, iż nawet nie spostrzegli, gdy do pokoju weszła matka Zofii.

Zakochani zmieszali się nieco, zaambarasowanie szybko jednak minęło na widok zadowolenia malującego się na twarzy matki, która natychmiast zaczęła wypytywać porucznika, jak jego zdrowie i czy długo wogóle będzie jeszcze w Zamościu.

„O radbył tutaj pozostać dopóki tylko wojna się nie skończy, by mieć sposobność bywania u państwa, lecz, niestety, ojezyczna i obowiązek wzywa do armii Księstwa, z którą też losy trzeba dzielić na obcych ziemiach. A czas ten zbliża się dodał smutnie, gdyż zdrowie powraca, a komisja wojskowo-lekarska, oświadczyła, że za dwa tygodnie dostanę pozwolenie powrotu do pułku.“

Odtąd codziennie przeznaczony przez doktorów wojskowych czas na przechadzkę, Leszczyński spędzał w towarzystwie Zofii i jej matki.

Przyjemnie te chwile wzajemnej miłości młodych musiały następnie ograniczyć się tylko na wspomnieniu, gdyż czas dwutygodniowy przeminął szybko i porucznik odjechał do Krakowa.

X

Wracając do obozu ks. Józefa, porucznik nie tylko zmienił swój wygląd, kładąc ubranie cywilne, lecz także kierunek drogi.

Sacken, generał rosyjski, właśnie pod tą porę zbliżał się ze swym korpusem ku Kielcom, Jędrzejowu, Miechowu i Michałowicom. W jakim celu tutaj posunął swój korpus, niewiadomo, gdyż nie przekroczył granicy austriackiej, domyśleć się zatem tylko można, że była to próba mająca na celu rozbrojenie i rozproszenie armji polskiej.

Nie mając lepszej drogi, porucznik musiał jechać pomiędzy armją rosyjską, a jej przed-

nią strażą, bacznie czuwając aby tym lub owym nie wpaść w ręce. Wciąż kierując się więcej bocznemi drogami, późną już nocą dojeżdżał do wsi Grochowiska, położonej w Pińczowskim powiecie, a okrażonej ze wszystkich stron lasami, nagle z oddali doleciał do niego głos rozmowy w języku rosyjskim.

Przypuszczając, że muszą to być jacyś ludzie z nieprzyjacielskiej armji, porucznik w pierwszej chwili chciał odrazu skręcić w przeciwną stronę, lecz przyszło mu na myśl, że nie wie jak liczny nieprzyjaciel ścigać go może i czy nie jedzie konno.

„Nie ma rady, rzekł wreszcie sam do siebie, trzeba konia zaprowadzić w krzaki, a samemu probować uciekać pieszo, w taki bowiem sposób łatwiej będzie gdzie przyczołgać się w jakiej dziurze.“

Zaledwie jednak wybrał miejsce w nieopodal gęstym jałowcu i konia tam przywiązał, rozmawiający pedeszli do niego o kilkanaście kroków, tak, że wyglądając ze swej kryjówki,

zobaczył dwóch idących ludzi, z których przy świetle księżyca przedzierającym się przez drzewa, poznał w jednym jakieś znajome mu ruchy, a także zdawało mu się, że i głos tego człowieka już kiedyś słyszał.

Jakaś dziwna chęć dowiedzenia się gdzie ci ludzie idą i po co, tak opanowała porucznika, że chwyciwszy pistolety w ręce, ostrożnie, chowając się za drzewami, jął iść za nimi w takiej odległości, aby słyszeć o czem będą mówili.

Porucznik rozumiał doskonale po rosyjsku, mając sposobność nauczyć się tego języka w 1812 roku w Moskwie, a ciekawość tem bardziej zachęcała go do tego, gdyż strasznej pułapki w jaką wpadł z przyczyny Muszyńskiego w ręce kozaków nie mógł zapomnieć, i na samą myśl o tym ohydny człowieku trząsał się ze złości.

Teraz więc zadawał sobie pytanie, czy to czasami nie szpiegowie wypatrują jaką sztafetę polską.

„Przed dwoma nie mam czego uciekać, a palnąć w łeb obudwom można, że się niespodziewają kiedy, trzeba tylko cierpliwości“, mówił sam do siebie porucznik.

Na dworze była noc piękna, księżycowa, przy tem nie było ani mrozu, ani śniegu, tak, że kroków porucznika, idącego ostrożnie, prawie nie było słychać.

Tym czasem rozmowa pomiędzy idącymi naprzód, toczyła się o dość znacznym wynagrodzeniu, które towarzysze mieli rozdzielić pomiędzy sobą na wypadek zwabienia do obozu rosyjskiego, organizatora armii polskiej ojca Bonawantury, zakonnika z klasztoru Pińczowskiego, który przeczuwszy niebezpieczeństwo opuścił klasztor, schroniwszy się w Grochowskich—dokąd właśnie mieli się ci ludzie udać, a przenocowawszy tam, wybadać chłopów, gdzie poszukiwany się ukrył.

—„Tylko słuchajno, mówił jeden z nich dobrej tuszy, ten właśnie, którego ruchy gdzieś były znajome porucznikowi, a pamiętaj żebyś

ani słowa do mnie nie pisał we wsi, bobyś się zdradził żeś nie niemowa, twoja czynność musi polegać na milczeniu, gdyż inaczej pomiarkowaliby się i kto wie, czyby stryczka na szyję nie włożyli.“

—„A za kogóż ty mnie masz, odpowie drugi, czy ty nie wiesz co ja potrafię, tylko żeby się udała ta nasza wyprawa, bo choć i wiadomo, że reformat po wyjechaniu z klasztoru nigdzie się nie schronił tylko w Grochowskich, to jednak ten generał, co mówisz, że nam zapłaci za naszą robotę, może powiedzieć: „Kto was o to prosił, ja w taki sposób nie zwyciężam nieprzyjaciela.“

Z tych ostatnich słów rozmowy podróżnych, porucznik wywnioskował, że owi nocni biesiadnicy, działali bez uprzedniego porozumienia się z nieprzyjacielem, lecz tylko na własną rękę badali stosunki przeciwnych obozów i dopiero miarkując od kogo więcej dostaną, temu też *corpus delicti* sprzedawali.

Teraz jeden z nich miał być tłumaczem.

niemowy, pomagając mu zbierać jałmużnę, jako nieszczęśliwcowi, któremu rosjanie wyrwali język w 1812 roku za to, że niechciał im pokazać kierunku w jakim przeszedł oddział francuski.

— „Acha rozumiem, szepnął sam do siebie porucznik, żeby i ci rosjanie wiedzieli jakimi wy jesteście ptaszkami, to by i oni dali wam zapłatę na suchej gałęzi.“ Tu przyspieszwszy kroku zbliżył się raptownie do rozmawiających i kolejno dał do nich ognia. Rezultat był taki, że jeden trafiony w tył głowy padł odrazu martwy, drugi zaś w plecy, jął się cisnąć po ziemi w przedśmiertnych podrygach. Podbiegł do nich porucznik, przyczem w zranionym, poznał Muszyńskiego, który przybrał sobie to nazwisko widocznie wtedy, kiedy było mu potrzeba, gdyż teraz na zapytanie porucznika — kto jesteś? odpowiedział: „Jestem Andrzej Pazdzior, prowadzę kalekę niemego.“

Rzecz ta stała się już na skraju lasu przed

domem gajowego, który nawet usłyszawszy strzały wyszedł zobaczyć co się stało.

— „A zobaczciego dobry człowieku, co ci rabusie mają przy sobie, bo to niby dziady proszalne, a na ludzką krzywdę i śmierć czyhają,“ rzekł porucznik do zbliżającego się leśnika.

— „No i wielmożny pan obydwóch ustrzelił?“

— „Nie — jeden jeszcze żyje,“ odrzekł porucznik, przedmuchując dymiące się lufy swych pistoletów.

Po zrewidowaniu rannego i zabitego okazało się, iż mieli przy sobie po 2 sztylety i po parze pistoletów za cholewami, a także jakieś papiery w zapieczętowanej kopercie.

— „Słuchajcie człowieku, trzeba wam wiedzieć, że to są szpiedzy przeciw sprawie polskiej, czy rozumiecie co to znaczy?“ — zapytał porucznik.

— „Ano i nie rozumiałbym“ brzmiała odpowiedź, „toć ja służyłem w wojsku przez ośm lat i cztery miesiące w strzelcach pieszych, je-

no żem w Hiszpanii stracił zdrowie, przeto prawie ta teraz dla mnie na stare lata chojaków pilnować“.

—„A dyscyplinę znacie?“—zapytał znowu porucznik.

—„Ano a jakże.“

—„No tak to co innego“ — rzekł dalej poważnym tonem porucznik.

—„Teraz powiem ci bracie, że jestem porucznikiem 6-go pułku ułanów, na to mam papiery, jeśli chcesz żebym ci się wylegitymował.“

—„Ano zawsze lepi, żebym one papiery zobaczył, bo drukowane i pisane znam i o 6-ym pułku też słyshałem,“ z pewną dumą wypowiedział leśnik.

Tu porucznik wydobyl z kieszeni dowód osobisty i podał go gajowemu, lecz ten spojrzawszy tylko na jego okładkę, wyprostował się jak na przeglądzie wymawiając:

—„Jestem do rozkazu Waszej Mości!“

—„Będiesz musiał jednego gdzie tu w lesie zakopać a drugiego odwieziesz do miasta, aby

mu tam dali nagrodę na jaką zasłużył, rozumiesz—rzekł rozkazującym tonem porucznik—
ja z tobą też pojedę, tylko wpierw pójdę po
konia, którego mam w krzakach o jaką wior-
stę ztąd.“

—„A może Wasza Mość pozwoli to i ja
polecę pomódz poszukać szkapy, bo to jeszcze
noc, a zabłądzić w naszym lesie nie trudno.“

—„Dobrze, rzekł porucznik, ale kto się
zostanie pilnować rannego?“

—„Ho, to jest na to rada Wasza Mość,
toć mam babę takiego zucha, żeby nie tylko
z rannego, lecz i ze zdrowego bebechy wytrzą-
sła, zaraz pójdę obudzić ją.“

Po tych słowach były wiarus pobiegł do
chaty, z której w chwilę potem wyszedł z ba-
bą niosącą widły od gnoju, niby karabia na
plecach.

—„Stawaj babo do apelu, rzekł chłop,
a my Wasza Mość możemy teraz śmiało iść
po konia.“

Powróciwszy napowrót z koniem porucz-

nik i gajowy, już nie zastali w tem miejscu baby z widłami i dopiero na donośny krzyk „Małgosia,“ ta wyszła z chałupy, gdzie udała się była spać.

—„A ty co sobie myślisz, wolno ci było z posterunku zchodzić?“—rzekł do żony srogim głosem mąż.

—„A czegoż to miałam pilnować, dyć ranny kopyta wyciągnął!“—wytłomaczyła baba.

Rzeczywiście, gdy porucznik nachylił się nad szpiegiem, ten już leżał bez duszy.

Odпочąwszy do rana w chałupie gajowego, porucznik ruszył w dalszą drogę i tego jeszcze dnia, późnym wieczorem, stanął przed naczelnym wodzem.

Wzruszony był książę, gdy usłyszał całą opowieść porucznika o jego przygodach, a w dodatku, gdy rozpieczętował pakiet odebrany szpiegom i znalazł tam bardzo ważne papiery, tak się nimi ucieszył, że porucznika ucałował, — nazwawszy go duchem opiekuńczym armii polskiej.

XI.

Tymczasem w pięć dni po wyjeździe Radziwiłła z Krakowa, Rada ministrów zebrała się na sesję w pałacu pod Baranami. W tajemnicy przed Poniatowskim tam uchwaliła, aby wojsko polskie wyszło z Krakowa nie w stronę wielkiej armii Napoleona, lecz aby przepравиło się za Wisłę i tu spróbowowało wejść w zaczepną walkę z korpusem generała rosyjskiego Sackena, a dopiero, na wypadek przemagającej siły nieprzyjaciela, cofnęło się przez Kraków, dla połączenia z Napoleonem. Książę był wtedy na rewii swych wojsk, które ustawicznie ćwiczył w sztuce wojennej, a gdy został powiadomiony o tem

postanowieniu wpadł w gwałtowny gniew, i jak wicher na swym dzielnym koniu ruszył na miejsce, gdzie odbywała się jeszcze narada.

Wszedłszy do sali, dysząc ze zmęczenia, z nadzwyczaj groźną miną i głosem, w którym czuć było podrażnienie, wyraził się temi słowy: „Nie spodziewałem się w Radzie ministrów takiego wniosku, który tembardziej jest nie właściwy, że ma za sobą pociągające pozory, lecz po głębszem zastanowieniu się, nie może być przymownie przyjęty ze względów wojskowych.“ Tu książę po raz ostatni dowiódł, że nie może pozwolić, aby gubiono ojczyznę — i zakończył słowy: „Wolę żeby Rada podpisała wyrok śmierci na mnie, jak widoki pozorne, które na chwilę tylko dogodziłyby opinii popularnej, a potem przez nią samą byłyby potępione.“ Rada ministrów przyparta do muru wywodami Poniatowskiego, zmuszona była zaraz na sesyi odwołać swoją uchwałę, oraz postanowiła wycofać się za Wisłę do Podgórza, czyli uczynić w rzeczywistości krok zasadniczy, zgodny z życzeniem

naczelnego wodza.

Nie włynęło jednak to wszystko dobrze na bliższe otoczenie Poniatowskiego, gdyż zaraz po tym fackie wycofali się z obozu polskiego: Eustachy ks. Sanguszko, generał Kniaziewicz, Konstanty ks. Czartoryski, hr. Zamojski i Mostowski, a za ich przykładem oddałą się później jeszcze, tacy jak: Chłopicki, albo Chłapowski.

Smutnie księżę spoglądał za opuszczającymi szeregi, temi wpływowemi osobami, i przez łyzy prawie w oczach powtarzał tylko za każdym odchodzącym „honor i sumienie.“

W nocy z 5-go na 6-ty maja, księżę zamknął się w pokoju z nieodstępnyim Aksamitowskim, a chodząc szerokimi krokami, wymawiał urywane słowa, dotyczące planu co dalej począć, czując się tak osamotnionym nawet od najbliższych przyjaciół. Wreszcie kazał Aksamitowskiemu podać sobie pistolety. Wyraz jego oczu świadczył, że jest mocno podrażniony i na prośbę majora, aby się uspokoił odpowiedział: „Rób co rozkazuje!“

Aksamitowski podał księciu pistolety, ale i sam wziął drugą parę w ręce, gotowy nie przeżyć swego wodza.

Losy ostatecznej zguby kraju, ważyły się przez chwilę, po której książę rzuciwszy na ziemię broń, krzyknął przez otwarte okno do oficera, dowodzącego wartą: „Sygnały wsiadanego.“ Jakież w niespełna godzinę — wszystko było gotowe do pochodu.

Około południa wódz polski, stanawszy na czele zastępów, wskazał adjutantowi pałaszem na zachód i armja ruszyła.

Pochód wojska polskiego, zgodnie z uchwałą Wiednia, miał się z początku odbywać niewielkimi oddziałami i bez broni, lecz książę w ostatniej chwili uzyskał za pośrednictwem Frimonta znaczne złagodzenie tego postanowienia, to znaczy, że armja polska będzie odbywać pochód, rozdzielona tylko na 4 części i z bronią w ręku.

Poszło więc wojsko polskie ku granicom Saksonii na Krzeszowice, Wadowice, Cieszyn⁶

Prerau, Austerlitz, Berno, Kolin do Zittau.

Tymczasem wielka armja Napoleona, już starła się z idącą naprzeciw niej sprzymierzoną armją prusko-rosyjską, pod Lützen, dnia 1-go maja 1813 r.

W kilka dni po tych wypadkach, przyjechał generał Sokolnicki do obozu ks. Józefa zwiastując o zwycięstwie, wysłany od cesarza Napoleona z oznajmieniem dodającym otuchy wojsku naszemu, będącemu w tak trudnem położeniu.

Oczywista rzecz, że o wszystkim co zaśzło do tych czas w korpusie polskim, donosił cesarzowi minister jego Bignon, który ciągle znajdował się przy Poniatowskim, a ztąd też wynikało, że zaraz po bitwie wielkich armii po Lützen, Napoleon, żywiąc obawy co do zachowania się polskiej armii, wysłał Sokolnickiego, aby ten dobrą swą wymową, przytem jako polak, podtrzymał na duchu polaków.

Otóż, jak wyżej wyraziliśmy się, armja polska została podzielona na 4 części, z których

niestrudzony książę każdą oddzielnie sam osobiście odprowadzał o kilka mil za Podgórze, to znaczy do ściśle oznaczonego przez austryjaków punktu.

Przy powrocie po drugą część swej armii, zastał właśnie w Podgórzu Sokolnickiego.

Jak w postanowieniu połączenia się wojsk polskich z armią Napoleona, żadne przeszkody nie zdołałyby zachwiać ks. Józefa, tak też i obecność Sokolnickiego w Podgórzu z dobrą nowiną, nie zachęciła go więcej. Bo wódz polski nie powodował ię żadnem widzi mi się, lecz brał rzeczy zdrowo i rozsądnie, a chociaż tak postępując w przyszłości nie zbawi Napoleona, wobec sprzymierzonej przeciw niemu Europy, to jednak zaznaczył tem, że Polacy potrafią dotrzymać słowa i nie noszą płaszcza na tem ramieniu, na którym pomimo hańby byłoby im lepiej. Takim postępowaniem zasłużą sobie później na szacunek całego świata i nawet w mniemaniu Aleksandra I, który po skończeniu tej wojny, będzie traktował polaków, jako naród z hono-

rem. Faktem jest, że jeden z niemieckich pisarzy tej epoki, a więc wrogo dla nas usposobiony w swoim dziele wyraził się: „A jednak polacy pokazali światu, jak należy dotrzymać zawartego przymierza i sądzę, (pisze dalej), że przyznał im to i cesarz Aleksander I, jako doskonały psycholog — woląc widzieć podwładnych swoich pokonanych siłą oręża, niż błędne owce, które kierują się tylko za pomocą szczekania psów i bata owczarskiego.“

Nie można, ani na chwilę przypuścić, aby polaków w honorowym ich postępowaniu względem Francyi, utrzymywał tylko Poniatowski.—Prawda, że wojsko wierzyło w niego, jak w wyrocznię, ale też nie mniej szanowało zasłużonych generałów i ludzi wpływowych, o których mówiłem już wyżej, że opuścili szeregi polskie, nie podzielając zdania naczelnego wodza; z tąd też można przypuszczać, że owi nie omieszkali także rozsiewać swych przekonań pomiędzy oficerów.

Nie pomogły jednak ani prośby, ani groź-

by, żołnierz polski poszedł tam, gdzie mu honor i sumienie wskazywało. By utwierdzić w tym przekonaniu czytelników, przytoczę choćby tylko takie zdarzenie:

Ks. Józef, chcąc zbadać zapatrywanie pomiędzy oficerami swej armii, która właśnie zgodnie z porządkiem opowiadania, weszła teraz czwartą swą częścią do Krzeszowic, i tam na 3 dni rozłożyła się obozem, to znaczy do czasu, aż 3-cia część dojdzie do Wadowic, polecił Aksamitowskiemu wyprawić im obiad, na który sam udawszy, że nie może przyjść, zamknął się w swej kwaterze. Aksamitowski miał rozkaz rozpuścić wiadomość, że niema co zdawać się na los księcia, gdyż ten czeka tylko sposobności wymknąć się i wyjechać do Petersburga.

Na czas oznaczony zeszli się zaproszeni: zastawiano stoły dobrymi daniami, a także przysposobiono dosyć wina i miodów starych, a kiedy Aksamitowski, udawszy podchmielonego wyraził się do zebranych w sposób sobie przepisany, wszyscy oficerowie jednogłośnie postanowili nie

wracać do Księstwa, lecz zaczękowały spraw-
dzenia strasznej nowiny, obrać naczelnym wo-
dzem jednego z generałów, aby wojsko popro-
wadził dalej do złączenia go z armją Napoleona.

Byli i tacy wśród oficerów, którzy nie chcieli
temu wierzyć i nawet za obelżywe słowa, ra-
dzili Aksamitowskiego aresztować. Dopiero kie-
dy ten roześmiał się w głos, a pułkownicy bę-
dąc wpierw już powiadomieni o tym żarcie, po-
wstali ze swych miejsc, oświadczając, że to tyl-
ko była próba, taki zapanował humor pomię-
dzy zebranyimi, że wypito wtedy więcej wina
i miodu, niż przez cały rok okrągły.

Toastom, winszowaniu, konceptom nie było
by końca, gdyby nie sygnał zwiastujący o dal-
szym marszu.



XII.

Dzień 15-go maja rozpoczął się piękną pogodą; niedawno rozwinięte listki na drzewach swą barwą przypominały o nadziei na lepsze czasy, a zapach rozwijających się bzów przepełnił ogrody i wydostawał się na nlice Cieszyzna, do którego dopieroco wchodzi wojsko polskie. Gdy warczą jeszcze bębny, w końcu miasta, oznajmiając marsz piechoty, gdy turykocze artylerja ciężkimi kołami o bruk przedmieścia, ułani 3, 6 i 8 pułku już rozlokowali się po kwaterach.

Już ten targuje się z przekupką o produktu spożywcze, ów wása kręci, flirtując

z córką gospodarza swej kwatery, a tamten znowu z olbrzymimi wąsami wachmistrz, dopilnowawszy, aby podwładni jego starannie zrobili, co około koni należy po przyjeździe, udał się do kwatery porucznika zdać codzienną relację, dotyczącą porządku w szwadronie. Porucznik właśnie chodził szybko po swym pokoju, z oznakami wielkiego niepokoju, i nie spojrział nawet na wchodzącego Krawczyka, jakoby nie chciał przerywać sobie ważnych myśli.

Młody porucznik trzymał w ręku jakiś list, z którego, to odczytywał parę wierszy, to znów opuszczał go na dół, z wyrazem na twarzy to smutku, to wściekłości.

Krawczyk nigdy jeszcze nie widział porucznika takim, przeto paliła go ciekawość dowiedzieć się co za przyczyna, że naczelnik jego robi wrażenie, jak gdyby zmysły postradał. Stał przeto chwilę w kącie, to krzając głośno, to kaszląc, aby tym sposobem zwrócić na siebie jego uwagę, aż wreszcie widząc, że porucznik otwiera pudełko, w którym znajdowały

się pistolety, a przypuszczając, że może to robi w przystępie rozpaczy, krzyknął na cały głos:

— „Wasza Mość, niech mi łeb, jak kogutowi u'ną w pierwszej bitwie, że mam rozkaz, abym nie pozwolił Waszej Mości wychodzić z mieszkania i imać do ręki pistoletów,“ to mówiąc Krawczyk wyrwał prawie porucznikowi z rąk nieotwarte jeszcze pudełko.

— „A ty stary, czy rozum postradałeś, czy co?“

— „Niech Wasza Mość bije, tłucze starego, a taki nie pozwolę pistoletów ruszać, bo teraz jeszcze nie czas, a darmo prochu psuć szkoda.“

Porucznik, który w rzeczy samej nie miał zamiaru pozbawić się życia, lecz tylko schować trzymany w ręku list, do tej właśnie szkatułki, w której prócz pistoletów, znajdowała się różna korespondencja, pomimo rozstrojenia nerwów, spojrzawszy na Krawczyka uśmiechnął się, poczem rzekł dobrotliwie:

— „Ależ pozwól stary pocziwce, jeno

schowam do szkatuły pismo, a zaraz też wytłomaczę ci skąd przyczyna mego smutku.“

Wachmistrz, usłyszawszy te łagodne słowa, jednym prawie susem odskoczył w ką, gdzie zwykły był zawsze stać, gdy przychodził do porucznika, poczem odezwał się:

— „Wedle rozkazu Waszej Mości słucham z wielką uwagą, a choć rada starego na nie się nie zda, to przecież myślę, że jak Wasza Mość opowie swój żal, to i na duszy lżej będzie.“

Porucznik spojrział na Krawczyka badawczo, poczem rzekł:

— „Prawda, że jeno ciebie stary mam, przed którym mogę się zwierzyć z gnębiącego mnie zmartwienia, otóż posłuchaj co ci powiem: czy wiesz co łączy mnie z panną Zofją, córką obywatela ze Starej?“

— „Ano niby tak rozumiem, że Wasza Mość serduszko swoje w Zamościu zostawił i teraz się martwi, że to nie ma do kogo wąsika podkrećić.“

— „Ale bredzisz stary, nie oto idzie.“

— „No to wedle rozkazu winien jestem kary, skorcm chybił w kalkulacji, ale stary tak mówi, jak rozumie.“

— „Zatem powiem ci, że panna Zofja jest prawą moją narzeczoną, przeznaczoną tak od jej matki, jako i od samego Boga, bom ją wyrwał z rąk zbójów. Otóż widzisz, ciągnął dalej porucznik, przykre na nią terminu przyszły, gdyż pisze mi, że „matka jej zaraz w tydzień po mojem wyjeździe rozchorowała się i umarła, ojciec zaś wpadł w ręce rosjan i ani śladu dopatrzyć nie można, w którą go stronę uwieźli. Donosi mi dalej, że cały podobno ich majątek skonfiskowali i inwentarz z niego uprowadzili,“* tak, że mówi biedactwo, iż „zostałam na rozdrożu strasznego nieszczęścia i bez dachu nad głową. Nie wielkie pieniądze i trochę kosztowności pozostało mi w spuściźnie, ale spodziewamy się tu wszyscy rychłego obłężenia, przeto sama

* Wszelkie konfiskaty i wolność osobistą przywrócono w r. 1815.

nie wiem co się z tą resztą mej egzystencji stanie na wypadek zdobycia fortecy.“

Wypowiedziawszy te słowa porucznik zamyslił się, poczem zapytał wachmistrza:

—„No i cóż ty na to?“

—„Ano nie inaczej jako widzę, że źle, trzeba paniątko ratować z tej opresji, bo jeszcze dopuści sobie do głowy i do klasztoru wstąpi, a później to i sposobu nie będzie, żeby ją z tamtąd wyciągnąć.“

—„Mówisz ratować, ale w jaki sposób, toć przecież ja urlopu nie dostanę, choćby mi nawet i rodzony ojciec umierał, a pismo pisać, to zanim dojdzie, przy najlepszych warunkach, upłynie miesiąc, a tu przecież i mowy być nie może, żeby do rąk właściwych doszło, gdyż nieprzyjaciół, jak opowiadał pocztyljon, który wozi pisma, wszędzie już te drogi i pola zajął, tak, że sam nie wie jak przedostanie się z powrotem do Zamościa. Tak więc myślę, że nie ma na to żadnej rady, jak tylko wzięść determinację i zdać ją na Opatrzność Boską, aż do

naszego powrotu?”

— „Wasza Mość, rzekł pośpiesznie Krawczyk, a możeby prosić księcia pana, żeby do wojennej korespondencji, jaka odejdzie do Zamocia w tych dniach, dołączyć list do kometanta fortecy z prośbą, żeby się zajął panną, a byłoby też dobrze, aby tak i sam książę list poświadczył, dopisawszy się, że to niby on o to prosi. Można by to załatwić, przez jego mości porucznika Niemojewskiego z 8-go pułku ułanów, którego książę bardzo lubi i podobno codzieln na kawę do swej kwatery prosi.

— „Myślałem już o tem, odrzekł porucznik, ale kto wie, czy Niemojewski zechce zaczepiać o to księcia, który i tak dosyć ma kłopotów; no ale spróbować nie zawadzi, idź przeto stary i poproś go w mojem imieniu, żeby był łaskaw spotkać się ze mną w kancelarji sztabu.“

— „Wedle rozkazu!“ — odrzekł wachmistrz, poczem wyszedł z pokoju.

Tegoż samego dnia za pośrednictwem Nie-

mojewskiego, dołączono list porucznika do papierów, które miała zabrać sztafeta za kilka dni. Sam ks. Józef dodał także do pakietu własnoręczne swe pismo do komendanta twierdzy, prosząc go, aby o ile możliwości rozpostarł opiekę nad narzeczoną porucznika.



XIII.

Dalej postępując armja polska wkroczyła 29-go maja do Austerlitz, 7-go czerwca do Berna, a 16-go do Zittau. Tutej dopiero po niemiłej i niebezpiecznej kilkotygodniowej wędrówce przez nieprzyjazną Austrię, znalazła prawdziwą gościnność na ziemi saskiej.

Na spotkanie Polaków gremjalnie wystąpił magistrat miasta Zittau, oraz wszystka prawie ludność ubrana w odświętne szaty.

Rozłożywszy się obozem w Zittau, teraz dopiero rozpoczął wódz polski uzupełnienia w odzieży i amunicji, które za niewielkie stosunkowo pieniądze można było sprowadzić z za-

kładów drezdeńskich.

Prawie jednocześnie z wkroczeniem armji polskiej do Zittau, został zawarty siedmioletni rozejm armji francuskiej z przeciwnym obozem, a przedłużony później skutkiem propozycji medjacyjnej austryjackiej, jeszcze na dwa tygodnie, to znaczy do 10-go sierpnia.

Nigdy nie przypuszczał cesarz Napoleon, że Poniatowski koniec końcem sprowadzi swe wojsko do Saksonji i korpus ten uważał za zdeorganizowany, dla tego też zawczasu szykował drugi korpus polski nad Renem, który powierzył generałowi Dąbrowskiemu. To też teraz, gdy wódz polski zaraz w 3 dni po przyjeździe do Zittau, pojechał do Drezna, aby przedstawić się Napoleonowi, ten z największą serdecznością powitał Poniatowskiego, traktując go odtąd wyróżniająco jako człowieka, dla którego zasług niema stopnia nagrody.

Odtąd też to wojsko polskie dostaje napowrót nazwę VIII korpusu armji francuskiej, a ks. Józef dostojęństwo marszałka Francji.

XIV.

A tak więc armja ks. Józefa składała się z 1, 6, 7, 8, 12, 15 części 17 i części 2-go pułków piechoty; jak również z pułków jazdy ułanów 3, 16, tylko 120 koni 6-go i 100 koni 8-go, gdyż pozostała reszta tych pułków w obecnej chwili wraz z pułkownikami znajduje się w korpusie generała Dąbrowskiego. Dalej z huzarów 13, kirasjerów 14 i oddziału Krakusów, a także 22-ch armat, podzielonych na pięć baterji pieszych i jedną konną, z kompanji saperów i pontonjerów.

Szefem sztabu tego korpusu został generał Roźniecki, a zastępcą jego generał Rauten-

ostrach. Dywizją pierwszą piechoty dowodził generał Kamieniecki, brygadami pułków piechoty 1, 6, 12, 15, częścią 17 i częścią 2 generałowie Małachowski i Sierakowski. Dalej drugą dywizją piechoty, składającą się z pułków: 7, 8 i 16 dowodził generał Izidor Krasiński.

Dywizją jazdy:— najpierw generał Valmy, później generał Sokolnicki; artylerją generał Redel, pod którego nadzorem byli także pontonjerzy i saperzy. Krakusom przodował Umiński, a kierasjerom Dziekoński.

Korpus Dąbrowskiego, zorganizowany w Warszawie i uzupełniony nad Renem składał się z ułanów: 2, 6, 7, 8, 15, strzelców konnych 4, huzarów 10 i 12-tu dział. Z pułków piechoty: 2 pod pułkownikiem Szymanowskim, 4 Ciechocim i 14 Malinowskim. Dywizją jazdy dowodził generał Łączyński, brygadą gen. Jan Krukowiecki, dywizją piechoty gen. Żółtowski, artylerją gen.: Szweryn i Dobrzański.

Dwa te wyżej wymienione korpusy, połączyły się ze sobą w Saksonii, tworząc licząc

22,000 ludzi. Oczywiście rzecz, że nie było to jeszcze wszystko wojsko polskie, gdyż pułki piechoty 5 i 10 i pułk 9 ułanów, znajdowały się w fortecy Gdańsku, pułki ułanów litewskich 17 i 19 w fortecy Hamburgu. W fortecach Księstwa Warszawskiego: Modlinie 6 tysięcy piechoty i w Zamościu 4 tysiące załogi, ogółem do 47 tysięcy ludzi, którzy uzupełnili pułki polskie dopiero w ostatnich chwilach pierwszych bitew 1813 roku.

Bitwa pod Lobau.

Wyobrażemy sobie najpierw pozycję pod Lobau: Stojąc w dolinie, mającej około 9 kwadratowych wiorst, widzimy naokoło siebie pasma gór, czyli odnogi Sudetów, które w tem miejscu nie są zbyt wysokie, gdyż sięgają zaledwie 1000 stóp, lecz prawie wszystkie skaliste i nadzwyczaj strome, pokryte u swych wierzchołków lasami. Na zachód od punktu, gdzie stojemy, przepływa przez tą dolinę Nissa, rzeka nadzw-

czaj bystra, której łożysko wije się w fantastycznych zakrętach po górzystych wąwozach, wywołując przez to ogromny szum, zwiększany tam i tu porozrzucanymi młynami wodnymi. Na zachód widzimy bity trakt prowadzący do Drezna, zwany w tej epoce o jakiej piszemy „Królewskim“.

Książę Józef, idąc na zachód awangardą na czele swego korpusu, wszedł na tą pozycję 9-go września o godzinie 10 rano; dnia tego było pochmurno, a gliniasty grunt pozycji obficie zroszony deszczem, który od kilku już dni padał z krótkimi tylko przerwami.

Ponieważ Austria zrzuciła teraz maskę swego sprzyjania Napoleonowi, przeto pod tą porę z południa ciągnął w toż samo miejsce jej korpus pod dowództwem Szwarzenberga, złożony z 37 tysięcy ludzi i 40 armat; czoło tego korpusu zajmował 2-gi pułk dragonów austrijackich, dowodzony przez zdolnego kawalerzystę Baumana.

Obydwaj przeciwni sobie wodzowie, powia-

domieni każdy przez swój rekonesans, już o kilka mil od miejsca bitwy wiedzieli zgóry, gdzie się ta odbędzie, gdyż Szwarcenbergowi chodziło o zabezpieczenie drogi dla ciągnących licznie wojsk austrijackich do Saksonii, Poniatowski zaś miał polecenie od Napoleona, zamknąć to przejście do czasu, aż armja jego rozlokuje się na punktach: pod Freibergiem, Nassen, Döbeln, Altenbergiem i południowemi brzegami Elstry, (z prawej strony).

Niechciał wódz polski wprowadzać w bój odrazu całego korpusu swego, a to z powodu przemagających sił nieprzyjaciela i niezupełnie odpowiedniej pozycji, oraz nie rozpoczynać pie.wszy akcji zaczepnej. Postanowił więc w chwili, kiedy nieprzyjaciel wyruszy z poza gór na równinę, nagłym zwrotem wykręcić całym korpusem w prawo na góry, aby tym sposobem dać do zrozumienia Szwarcenbergowi, iż daje mu wolne przejście doliną.

Wykonanie tego planu stało się wówczas, kiedy austrijacy znajdowali się mniej więcej

na 4 wiorsty w odległości od wojska Ponia'owskiego.

Z trudnością przyszło polakom wtaczać artylerję na bardziej wyniosłe miejsca w skutek oślizgłego po deszczu gliniastego gruntu, lecz ta jednakże prawie na rękach żołnierzy została wniesioną.

Dalszy plan rozlokowania wojska polskiego odbył się w następującym porządku: pułki piechoty 7, 8, 15 i 16, dostały polecenie szybkim marszem odejść na odległość wiorsty w kierunku południa, 6 i 12 toż samo miały wykonać w przeciwną stronę, to znaczy na północ, w celu zabezpieczenia, aby nieprzyjaciel nie opierścienił korpusu polskiego. Pułk 13 huźarów, rozdzieliwszy się na 2 części, stanął gotowy do ataku po obudwóch stronach doliny, prawie tuż pod górą, zasłonięty od kul nieprzyjacielskich, niby alejami wysokich i gęstych krzaków. Pułk 17 piechoty i reszta kawalerji trzymali rezerwę, oddalając się na pół wiorsty na zachód, a pułk 1-szy strzelców pieszych

z garstką 2-go piechoty, stanął pośrodku doliny, zamykając mylny tył armji, dającej Szwarcenbergowi niby przejście doliną, a w rzeczywistości czekając na siebie ataku kawalerji austryjackiej.

Z poza pagórków wynurzył się Bauman, i nagle ruszył rozwiniętym galopem wprost na pułk 1-y naszych strzelców, na czele którego stał dzielny Badurski.

Rozlega się komenda: „bataljon pierwszy ognia! Bataljon drugi z rezerwą ognia! Stań w czworobok! Bataljon pierwszy w kolumny i plutonami kolejno jeża!“

Jednocześnie słyhać sygnały naszej artylerji:

„Ognia do kawalerji! baterje: pierwsza! druga! trzecia“ i t. d.

Zatrzęsła się ziemia w swoich posadach, ściele się wał trupów z nieprzyjaciela; dragoni chwieją się, poczem znikają z placu, lecz na ich miejsce 5 pułków piechoty nieprzyjacielskiej rusza na bagnety. Warczą więc

bębny, ryczą znowu armaty, kłęby dymów czarnym obłokiem zasłaniają na chwilę dolinę, poczem uniesione wiatrem odsłaniają widok zrujnowanych szeregów nieprzyjaciela, który jednakże nie daje za wygraną, lecz oprzytomniawszy zrywa się z miejsca z wściekłym okrzykiem. Wtem jak stado cietrzewi wypadają z zarośli nasi huzary.

„Naprzód! rozlega się komenda, naprzód kto w Boga wierzy!“ Wre bitwa wściekła, nieprzyjaciel zachwiał się, lecz tylko na chwilę, gdyż Szwarzenberg wysłał im na pomoc jeszcze 2-a pułki swych dragonów.

Szybko cofają się polacy, dając możność powtórnego działania naszej artylerji. W tem, co to? o dziwy! Badurski nie zchodzi z pozycji, lecz każe grać sygnały do ataku. Brzękła stal, bagnet o bagnet uderzył, ręce chwyciły za bary. Trysła krew z otwartych ran, powstał jęk i wrzawa; przez chwilę słychać raz po raz zachęcające do bitwy słowa „vorwetz“, to znowu „dalej naprzód“, „ramie w ra-

mie.“

Już się chce Szwarzenberg siłą swej potęgi przebić, już orkiestra zwiastuje wyjazd co najlepszej konnicy nieprzyjaciela, już Badurski chwala okryty, łamie walczącego z nim nieprzyjaciela i już wisi nad niem miecz Demoklesa, gdyż dwa pułki ciężkich kirasjerów kierują na niego szarżę, lecz nagle i wojsko polskie rozlokowane po obudwóch stronach gór, w celu przeciwdziałania na oskrzydlenie korpusu, i reszta pułków rusza całą potęgą na nieprzyjaciela.

Pędem więc naprzód postępuje artylerja konna, osobiście prowadzona przez Redla, staje nad rzeką, wykręca szalonym zwrotem ośmiu smokami, które raz po raz zieją ogniem, wypuszczając żądla niszczące całe zastępy nieprzyjaciela.

Słychać także ryk armat wroga, słychać, że granaty jego z sykiem lecą, lecz pękają daleko na górach, albo gasną w rzece, gdyż straciwszy głowę Szwarzenberg zepsuł sobie

pozycję i strzelać nie może do naszych, bojąc się własnych trafiać żołnierzy.

Z pośród kłębow dymu i błyszczącej stali, widać także i oddział pułku 6 ułanów, a z pośród oficerów łatwo odróżnić znajomego nam porucznika, obok niego szarżuje stary wiarus Krawczyk, który zapamiętałe tnie, to wpadając w odment walki, to znowu na pojedynczego nieprzyjaciela.

Bitwa wre — Badurski ze swym pułkiem strzelców wdziera się na jedną z gór, spycha z tamtąd bagnietami pułk piechoty nieprzyjacielskiej prosto w nurty wezbranej Nissy, lecz nagle z południowej strony zostaje odcięty od swego korpusu, zmuszony teraz walczyć z daleko liczniejszym nieprzyjacielem, wdzierającym się na jego pozycję, i widzi dzielny swój pułk, albo w nurtach rzeki, albo ginący cd nawały wroga. Wtem Dziekoński szybko łączy swych kirasjerów z tym małym szwadronem 6-go pułku ułanów i kieruje szarżę wprost ku górze, na której stoi właśnie w niebezpiecznem położeniu

pułk 1-y naszych strzelców. Widzi to nieprzyjacielska piechota, która miała atakować Badurskiego, nie próbuje dalszych na niego zapędów, lecz swe bagnety zwraca na pędzących kawalerzystów.

Badurski zaś nie traci przytomności, a zostawiwszy rezerwę na zdobytej górze, uderza na tyły nieprzyjaciela. Trwa bój kwadrans tylko, poczem nieprzyjaciel w bezładnej ucieczce ratunku szuka.

Ustępuje Szwarzenberg z resztą swego korpusu, i znika z niem hen—za górami.

Cisza nastąpiła, cisza zupełna, jeno pasma dymów unoszone wiatrem, niby chmury po burzy, odsłaniają miejsce walki, odsłaniają obraz konania i śmierci.

Tam w przedśmiertnym uścisku skuci leżą: piechur polski z austryjakiem; tam nawpół poszarpane granatami pełzają po trupach ofiary bitwy; a tam znowu krwawe postacie wiszą na armaty lawecie.

Nieodstępny towarzysz wojny—kruk, ode-

zwał się w powietrzu, dając znać swym bra-
ciom, że czas na ucztę, czas wykluwać oczy,
czas napić się krwią poległych.



XIV.

O kilka wiorst od miejsca bitwy pod Lobau wojsko polskie rozłożyło się obozem na dwa dni. Wszędzie po górach rozbito białe namioty, obok których wre praca: jedni czyszczą broń, drudzy zbryzgane krwią ubranie, inni zaś w kuchniach polowych gotują żołnierską strawę, a przyjemny dla zgłodniałych zapach, roznosi się wokoło. Z jednego miejsca dolatuje do nas dźwięk gitary, z drugiego śpiew zebranych w koło żołnierzy, ztamtąd wesole żarty i koncepty, a ztąd rozmowy sanitariuszów, zwożących z pola bitwy rannych rycerzy.

Ks. Józef miał kwaterę w pobliskiej wsi,

zkaąd też co jakiś czas przyjeżdżał adjutant polowy z rozkazami do obozu. Oto nawet dopiero co przyjechał, a załatwiwszy co do służby garnizonnej należy, podjeżdża do namiotu znajomego nam porucznika i wręcza mu własnoręczne pismo naczelnego wodza następującej treści: „Szlachetny poruczniku! Kilka razy podczas dzisiejszej bitwy udało mi się zobaczyć pracę Twoją około wspólnego naszego zwycięstwa. Chcąc więcej upamiętnić dla Ciebie i wojska naszego ten dzień, pomieściłem w raporcie dziennym obok innych nazwisk, godnych odznaki, także i Twoję, a jako dodatek do zasłużonej nagrody przyjmij odemnie pocieszającą Cię nowinę, że wkrótce zobaczysz tą, której wspomnienie na dniu serca ci leży.“

Gdy odjechał już adjutant, porucznik powtórnie odczytał list Krawczykowi, który w tym czasie gotował pożywienie, szepcząc półgłosem do siebie: „Omałomjadła nie przepieprzył, takim ciekawym co też za nagrodę dostanie nasz porucznik za tą jazdę na austryjackich kar-

kaci.“

—„Co tam stary mruyczysz? lepiej byś słu-
chał co czytam“— rzekł z wesołością w głosie
porucznik.

—„E nie, Wasza Mość, ja słucham i kal-
kuluję, gdzie też teraz te austryjaki liżą się—
bo że wzięli w skórę, to wzięli, aż śmier-
działo.“

—„Prawdę mówisz, prawdę,—przerwał po-
rucznik—ale wiesz, że łaskawy książę pan ra-
czył napisać także w tem liście do mnie, że
niedługo ujrę tą, która mi na dnie serca leży,
i cóż ty na to? czyby książę czasem nie my-
ślał wycofać mnie z armji?“

Teraz dopiero wachmistrz na dobre poła-
pał się z myślami, a słysząc wyraźnie ostatnie
słowa porucznika zamyslił się, jakgdyby do
odgadnięcia miał nielada zagadkę, poczem
rzekł:

—„Jeśli Wasza Mość chce, żebym nie po-
głupiemu odpowiedział, to musi mi pozwolić za-
żyć scbie tabaki, bo narazie, jeszeze mi ta

ostatnia jazda we łbie miesza.“ Tu stary wyjąwszy z kieszeni tabakierkę, pociągnął z niej dwa ogromne niuchy, poczem jął mówić uroczyście:

—„Niech w pierwszej bitwie wywałę się z koniem do góry nogami, że inaczej nie może być, jeno ta dobra panienska przyjechała do naszego obozu z temi ambulansami, co drezdeńskim traktem przybyły, a później zatrzymały się we wsi, gdzie kwateruje sam nasz wódz naczelny. Zdaje mi się nawet, że na własne oczy widział podobną pannę, jakem po bandaż dla szwadronu zaraz po bitwie jeździł“

—„A dla czegoż to nic mi nie powiedziałeś o tem,“ rzekł porucznik.

—„Niech Wasza Mość utnie mi głowę, a taki myślałem, że mi się tylko zdaje“—tłomaczył się wachmistrz.

—„Dawaj mi co zjeść, bom głodny, jak pies, krzyknął po pewnej pauzie Leszczyński, a sam kulbacz konia, muszę dziś jeszcze widzieć ją, jeśli rzeczywiście znajduje się w obozie.“

Wkrótce potem porucznik dosiadł konia i niby wichur pomknął w stronę kwatery ks. Józefa. Niebawem całej prawdy dowiedział się Leszczyński od majora Aksamitowskiego: Zofję, jak odpisał do Księcia komendant z Zamościa, zaopiekować się nie może, gdyż w trzy dni przed odebraniem polecenia ks. Józefa przez sztafetę, wstąpiła do towarzystwa pomocy ratunkowej i wraz z kilkoma siostrami miłosierdzia, odjechała do Lwowa, a z tamąd ma się udać z temiż siostrami do Saksonii, i że sądzi iż dojedzie do obozu polskiego szczęśliwie, gdyż ta partja sanitarna dąży na plac boju pod pozorem, jakoby do armji sprzymierzonej przeciw Napoleonowi, co podtrzymuje w tem mniemaniu, przełożona znakomicie mówiąca po niemiecku, a która też ma załatwiać wszelkie formalności w podróży.



XV.

Tak więc nadeszła pora jesienna 1813 r., a z nią jednocześnie krwawe bitwy, które wojsko polskie w dziejach swej historii, upamiętniło niezwykłą walecznością i poświęceniem, okrywając chwałą nie tylko korpus Poniatowskiego lecz i Dąbrowskiego. Nie będę szczegółowo rozpisywał się o tych bitwach, gdyż historia, tyle tylko o nich wspomina, iż polacy dali tam dowody niepojętej waleczności, a szczególnie pułk 6-ty ułanów pod dowództwem pułkownika Suchorzewskiego.

Jedynie o odznaczeniu się korpusu Dąbrowskiego w bitwie pod Wachau mamy więcej danych, którą też więcej szczegółowo opiszę, co

zaś tyczy się innych bitew stoczonych przez ten korpus, to wiadomo, że najdzielniejszą szarżę z kawalerii polskiej, wykonał 6-ty pułk ułanów: pod Neustand 15-go września rozbijając dwa pułki kozaków pod Lauterbach, 21-go rozproszył prawie zupełnie trzy pułki jazdy nieprzyjacielskiej, pod Zehma, 4-go października w szalonej szarży rozbił pułk huzarów i dwanaście sęcin kozaków, a najświetniejszą szarżę, wprowadzającą wprost w podziw waleczności ten 6-ty pułk ułanów z resztkami jazdy polskiej korpusu Dąbrowskiego, wykonał niedaleko Wachau, rozbijając 16 pułków konnicy nieprzyjacielskiej.

Oto jak ta rzecz się miała:*) Dnia 16-go października 1813 roku dwie liczne armje, połączywszy się z sobą niedaleko Wachau, groziły naszemu wojsku zupełną zagłodą. Rekonesans zbadawszy nieprzyjacielską pozycję oznajmił nam, że atak na prawe skrzydło wykonają: pułk kirasjerów austryjskich, 3 pułki dragonów rosyjskich i 2 pułki kozaków. Na skrzydło lewe

*) Por. „Ze wspomnień mojego dziadka“ przez B. Z. Gnoińskiego Warszawa 1911.

szykują się: pułk huzarów rosyjskich, 3 pułk kozaków i 6 pułków dragonów austrijackich;—środek tego ataku zajmie artylerja austrijacka, wsparta pułkami piechoty różnych wojsk.

Nasze wojska, szykując się do przyjęcia ataku, rozlokowały się trzema punktami, tworząc pozycję podobną do trójkątu, którego czoło zajęły 3-ci i 12-ty pułki piechoty polskiej.

Pułk 6-ty, połączony z 8-ym ułanów i pierwszym strzelców konnych, zajął stanowisko na lewej linji, pozostałe zaś punkty, zajęły inne pułki polskie.

Zahuczało, zadudniało ze wszech stron, zawyły armaty, zarżały konie i zaczął się bój srogi.

Obok frontu 6-go pułku ułanów na rozhu-kanym koniu stanął pułkownik i zmierzwszy nas przenikliwemi oczami, wskazał gołym pałaszem gęste kupy kozaków, komenderując głośno: „Hej! wiarusy z pod Moskwy.“ „Hej! pułku szósty pokaż, jak cenisz honor żołnierza!!! Niech twa dzielna ręka skruszy przemoc nieprzyja-

cielską!“

„Marsz! Marsz!“ Zajęczała ziemia od uderzeń końskich—to szósty pułk szarżuje.

Szelest chorągiewek i błyszcząca stal zwiastują, że za chwilę śmierć panowanie swoje tu rozsieje, że za chwilę pędzący huragan spotka na swej drodze drugi kierunek impetu i zawiruje z nim razem w uścisku piekielnego tańca.

Jadą! jadą! coraz bliżej sławy. Już przednie szeregi zwały się z nieprzyjacielem! Zatrzeszczały lance i dzidy kozackie.

Warczą chorągiewki na włóczniach ułanów, czyniąc szalone zwroty w różnym kierunku, iskrzy się stal pałaszów, zataczając błyskawiczne koła. Przewraca się koń, pchnięty w szalonym pędzie piersią atakującego rumaka. Wre bitwa przez chwilę. Na miejscu walki już nikogo niema, jeno tam z sąsiednich lasów powracają z pieśnią nasi ułani, rozpędziwszy zupełnie na wszystkie strony kozaków.

Teraz na plac dąży pułk huzarów rosyjskich, lecz łamie swoje szyki, nie wytrzymuje

ataku i licznego trupa zostawiwszy, znowuż ratunku w ucieczce szuka.

Jakieś nowe kupy jeźdźców na spotkanie nam idą; to dragoni austryjaccy. Znowuż trzask, znowuż szczeł stali i znowuż zwycięstwo za nami.

Już konie pianą były pokryte i ręka kłuc przestała, kiedy otrzymaliśmy rozkaz atakowania kirasjerów; jeszcze ostatni wykonaliśmy wysiłek i jeszcze jedno zwycięstwo przeszło na naszą stronę.



XVI.

Tymczasem ks. Poniatowski, po bitwie pod Lobau, idąc awangardą, szybko przeprowił się przez Elbe częścią swęj armji pod Dreznem, rezerwą zaś niedaleko Irno, staczając bitwę z wygraną na swoję stronę pod Szeminitz i Gera, a następnie 12 go października staje na prawej stronie błotnisteo półkola Plejssy i Elstry, gdzie ze wszystkich stron ściągały także przeszło półmilionowe zastępy sprzymierzoneo nieprzyjaciela, niby czarne złowrogie chmury, zwiastujące straszną burzę.

Pierwsze błyskawice pokazały się z paszcz artylerji austryjackiej, powtarzając echa wystrzałów

w szeregach korpusu polskiego. Strata w naszych ludziach i koniach dość znaczna, a o odwecie na razie nie może być mowy, gdyż dywizja Kraszińskiego przechodzi linje ognia, dając na pozycję południowej linji bojowej, dla zastąpienia rosyjskiej gwardyi piechoty „jegrom,” grenadjerom „Pawłowskim,” pułkowi Wołżskiemu i Astrachańskiemu piechoty, wspartych pułkami kawaleryi Małorosyjskim i Dońskimi kozakami. Krasziński sam osobiście z dobytym pałaszem biegnie na czele swej dywizyi i spieszy, by rozlokować się na pozycyi obok północnych brzegów Plejssy z prawej strony, a gęstymi krzakami leszczyny, tóż prawie pod rybacką osadą Kalte.

Książę Poniatowski daje sygnały, aby Krasziński prędzej przeszedł linję ognia, gdyż czeka na to artylerja Redla, do której w danej chwili nie może strzelać nieprzyjaciel, gdyż zasłania mu jej widok pułk 13 strzelców rosyjskich. Zniknęły wreszcie ostatnie szeregi dywizyi Kraszińskiego w leszczynie, a jednocześnie rozlega

się ogłuszający grzmot armat. — To nasza artylerja dała ognia, zawadzając po drodze prawe skrzydło dążących na pozycję strzelców rosyjskich i siejąc śmierć i zniszczenie w brygadzie artylerji austryjackiej.

Dwa pociski wypuszczone z dział porucznika Wierzbińskiego druzgoczą koła 3-eh armat wroga, miazgę prawie czyniąc z otaczających je żołnierzy.

Kanonier Nowicki celnym strzałem, kładzie trupem pułkownika Kątbergera, kierującego ogniem nieprzyjacielskiej baterji, siejąc przytem gęsto trupa w dalszej drodze granatu.

Wierzbiński chce jeszcze większego pokazać zucha, karze raptownie zakładać konie do swej baterji i zrywa się nagle wprost na dającą raz po raz ognia piechotę do naszego pułku 3-go ułanów, pędzącego szarżą do odebrania austryjakom armat, pomiędzy któremi wkraść się nieporządek z przyczyny śmierci Kątbergera.

„Wracaj! wrzeszczy Redel, wracaj! bo zgubisz siebie i ludzi — wraz z działami,“ sygnali-

zuje ks. Józef z pagórka, ale Wierzbiński już jest daleko i nie słyszy rozkazów; zachęca więc dzielnych swych artylerystów: „Dalej bracia! jeszcze tylko paret kroków, a sławą okryjecie się nazawsze, dalej batem po dyszlowych! ot tak dobrze, teraz z całych sił rozmachać baterję i zająć pagórek, ot tak dzielnie! pozycja doskonała, zaraz poczęstujemy gości ołowianym grochem.“

— „Kolego, przedmawia podporucznik Tarczyński, zostaliśmy odcięci. Patrz coś narobił. Stożemy w krzyżowym ogniu.“

„Milez! odpowie Wierzbiński, ja tu komendantem, rób co rozkazuje,“ to mówiąc spojrział przez lunetę, następnie skomenderował: „Odprowadzaj konie!“

„Baterje w piechotę granatem ognia!“ i znowu ledwie strzał przebrzniał rozlega się komenda: „Kolejno ognia! Od tak, tak! cha! cha! cha!“ rzekł śmiejąc się młody komendant, widąc jak koziołki wywracają.

„A no teraz spróbujemy, jak posmakuje

im jąderko! Zakładaj ósemkę!“! tu zeskoczywszy z konia i odepchnąwszy kanoniera od lawety, sam jął kierować wizerem, przymawiając:

„O tak, tak trochę wyżej, trochę niżej, dobra nasza, a teraz ognia!“

Zagrzmiały jednocześnie dwa działa, robiąc straszne spustoszenie, tem bardziej, że nieprzyjaciel nie spodziewał się z tej strony pocisków.

Widzi to wszystko ks. Józef z daleka, patrząc przez lunetę, oraz miarkuje, że Wierzbński dobrze zrobił, trzeba tylko teraz szybkiego poprowadzenia 3-im pułkiem ułanów, a cała pozycja bojowego półkola w rękach korpusu polskiego zostanie. Dzielny generał nie oszczędza swego zdrowia, zrywa się nagle jak sokół za zdobyczą i niby wichur nikt nie przed front szarżującego pułku 3-go ułanów, który teraz właśnie rozbiwszy na drzazgi lewe skrzydło brygady nieprzyjacielskiej, kieruje atak w sam środek, gdzie Wierzbńskiego działa spustoszenie zrobiły.

Już książę dobiega do naszych, już jedzie na jego spotkanie 50 ułanów, obsypani gradem kul, a pędzący pułk tymczasem robi półkole, zabiera impetem po drodze księcia i znika w odmęcie walki. Na widok ukochanego wodza w przednich szeregach, wiara rośnie na duchu, cudów waleczności dowody daje i rozbija na głowę wroga.

Dowódcy korpusu rosyjskiego Rajewskij i austryjackiego Szwarzenberg, cofają się w nieładzie i gdyby nie generał rosyjski Orłow-Denisow, który szybkim marszem zastąpił z nowymi siłami polakom, pogrom tych dwóch korpusów byłby zupełny.

Przebiegły ten generał zaatakował z boku kolumny polskie, rozbijając prawie doszczętnie 34, 36 i 40 bataliony piechoty francuskiej, które chciały zastąpić mu drogę. Oslabił wprawdzie przez to swój korpus, lecz powstrzymał zniszczenie korpusów Szwarzenberga i Rajewskiego. Tego dnia na całym terytorjum bitwy pod Lipskiem, zginęło 50,000 ludzi z obudwóch

przeciwnych sobie obozów. Pozycja prawego skrzydła bojowego półkola, pomimo przeszkody Orłowa-Denisowa, przeszła na stronę polaków, a książę Józef został pierwszy raz ranny w rękę podczas szarży 3-go pułku ułanów. Kula karabinowa przebiła dzielnemu wodzowi mięśnie obok ramienia.

Gdy zmrok zapadł zupełny, zamilkły naokoło salwy, a pogodny wieczór napełnił miejsce walki cichym spokojem. W serca polskie wstąpiła nadzieja w lepszą przyszłość, że niedługo już może skończy się tułaczne życie, a choć zostanie niewielu dzielnych żołnierzy, to jednak rzuciwszy ziarno honoru na obcych ziemiach i za obcą sprawę, zbiorą obfity plon na ziemi rodzinnej.



XVII.

13-go, 14-go i 15-go października spokój. W tym ostatnim dniu wojsko polskie i francuskie, pod bronią, wysłuchuje urzędowej nominacji ks. Józefa marszałkiem Francyi; wódz polski słucha tego dekretu z obojętnością.

16-go października już od świtu straszny zapanował ogień na wszystkich pozycjach Wielkiej Armii, przedstawiając obraz piekła Dantego.

O kolumny wojska polskiego, niby fale morskie o brzeg skalisty, rozbijały się liczne pułki nieprzyjaciół. Korpus ks. Józefa w tym dniu trudną miał funkcję, gdyż sam nie wchodził w walkę zaczepną, lecz bronił tyłów Wielkiej Armji Napoleona.

Twardo więc na pozycjach stoi piechota, dzielnie odpiera ataki kawalerja, a Redel gradem pocisków swej artylerji, ochładza pokusy austriaków i prusaków pragnących zająć lewy brzeg Plejssy, gdzie walczy teraz armja francuska ze znacznie liczniejszym przeciwnikiem. Polacy nie ustąpili ani piędzi ziemi, pozostając dzień cały pod nawałnicą kul karabinowych i kartaży. W dniu tym ks. Józef, po raz wtóry ranny w rękę kulą karabinową poniżej łokcia.

17-ty października był dniem spoczynku. W powietrzu unosiła się gęsta mgła. O 10-iej rano ks. Józef zaprosił generałów polskich na naradę wojenną; przedewszystkiem rozpatrywano kwestję dotyczącą planu, rozlokowania korpusu polskiego na terenie bitwy, następnie zastanawiano się nad zmiennością Saskiego 10-go pułku piechoty, który podobno przeszedł na stronę nieprzyjaciela. Rozważano, czy wogóle nie jest to hasłem do masowego porzucenia przez Sasów sprawy Napoleona.

W tej ostatniej sprawie zabrał głos generał

dywizji Kamieniecki, oświadczając, że bezzwłocznie trzeba wysłać jakiegoś sprytnego oficera do obozu Sasów, aby należycie wybadać panujące tam zapatrywanie, gdyż ci zajmują środek pomiędzy IV korpusem polskim rezerwy kawalerji, a armją francuską i mogliby tym sposobem narobić strasznej, a niepowetowanej biedy.

Wniosek poparły wszystkie głosy, a ks. Józef, siedzący dla słabości zdrowia zupełnie w przechylonej pozie, na jakimś tapczanie pochodowym, podchwycił zdanie Kamienieckiego.

— „Tak, to jest, bezwarunkowo konieczne; przywołajcie mi panowie porucznika 6-go pułku ułanów Leszczyńskiego, ten człowiek będzie najodpowiedniejszy do spełnienia tej funkcji.“

— „Leszczyńskiego odezwał się, powtarzając po dwa kroć to nazwisko i podnosząc się ze swego miejsca Krasiniński, zdaje mi się, ciągnął dalej, że jest ranny; słyszałem, że onegdaj szarżując ze swym oddziałem niedaleko punktu obserwacyjnego, wdarł się w środek austryjackie-

go pułku dragonów i sam własnoręcznie wyrwał sztandar chorążemu, poczem wskoczył do Plejsy i przepłynawszy już ją, na drugiej stronie spadł z konia ugodzony kulą karabinową, lecz podobno nie groźnie.“

— „A ze sztandarem co się stało?“ — podchwycił ks. Józef.

— „Sztandar podobno przejął francuski generał Gavau i odwiózł do obozu Napoleona,“ odrzekł Krasiński.

— „Jakim to prawem stać się mogło,“ — krzyknął ks. Poniatowski, czyliż nie przestaniemy kłaść na głowy francuskie wieńców gloryi polskiej? Który z panów generałów był przytem obecny?“ Książę patrzył oczami rozgorączkowanemi i z nagłą irytacją po wszystkich obecnych, lecz okazało się, że tylko jeden Krasiński dowiedział się o tem od jakiegoś pułkownika francuskiego.

„Dyżurny! — krzyknął Książę, zwracając się do siedzącego z boku oficera, proszę bardzo zająć się sprowadzeniem porucznika Leszczyń-

skiego, a jeśli ranny, to go na noszach przynieść.“

Nie upłynęło i pół godziny, jak przed radą generałów polskich, stanął blady, lecz sztywno-trzymający się Leszczyński.

„Przedewszystkiem gdzie sztandar, pytam się do kroćset djabłów! jak śmiałeś go poruczniku oddawać generałowi Gavau?“

— „Wasza Ks. Mość, wybąkał Leszczyńskiego, sztandar u mnie w zanadrzu,“ to mówiąc, wyciągnął i podał oznakę pułku naczelnemu wodzowi.

„Boże drogi! Boże wielki! o jakże Ci dziękować powinniśmy, żeś nas polaków obdarował prawdziwą walecznością i hartem duszy,“ wymówił Książę patrząc na sztandar.

— „A jakążes dał odprawę generałowi Gavau?“

Porucznik drgnął, potem spuściwszy oczy rzekł:

— „Zawiniłem, Wasza Ks. Mość.“

— „No coś zrobił, mów prędzej.“

— „Koniecznie zmuszał mnie do oddania, nie chciałem tego uczynić.“

— „To dobrze, przerwał Książę dalej? “

— „Następnie powiedział mi głupstwo, oświadczając jednocześnie, że nie mam szacunku dla wyższej rangi. “

— „A ty co na to? “

Porucznik spojrzał prosto w oczy księcia, śmiało mówiąc:

— „Nie lękam się najstraszniejszej kary, choćby nawet rozstrzelania, jeno mi przykro, żem drogiemu nam wodzowi zrobił postępkem swym nieprzyjemność, dałem generałowi Gavau policzek. “

— „Żle, zauważył książę, ale wina zmazuje się zasługą nagrody; wobec tego awansu nie dostaniesz aż za 10 dni. Żeby zaś umorzyć ostatecznie twą winę, to jeśli żywi będziemy jutro po skończonej bitwie, pojedę sam do cesarza Napoleona i będę błagał by ci, poruczniku, winę darował. “

— „Nie czuję się być wart tej łaski, jestem już i tak szczęśliwy, że Wasza Ks. Mość raczył mi darować, a co się stanie dalej to Wola Boża. “

— „Bredzisz, rzekł żartobliwie książę, dopóki ja żyję włos z głowy ci nie spadnie, a teraz odpowiadaj poruczniku, jak tve zdrowie?“

— „Ranny jestem w bok, ale czuję się dobrze. Wszyscy my polacy tak przywykliśmy odpowiadać podczas służby ojezyźnie, ot i ja się czuję dobrze, choć kości ręki mam pogru-chotane.“

Tu książę zamyslił się przez chwilę poczem rzekł dalej:

— „Pojedziesz, panie poruczniku do obozu saskiego i wybadasz jaki nastrój panuje pomiędzy niemi, gdyż podobno zbierają się opuścić sprawę cesarza Napoleona. Pamiętaj działać z wszelką ostrożnością i przywieź choćby najmniejszy dowód tego łotrowstwa, zrozumiałeś?“

— „Wedle rozkazu Waszej Ks. Mości,“ odrzekł Leszczyński, poczem wyszedł z namiotu.



XVIII.

Leszczyński szedł prosto do swej kwatery. Młody oficer rozważał nad planem powierzonych sobie wywiadów, oraz nad tem, jak mu będzie lepiej pojechać do obozu Sasów, w pojedynkę, czy też wraz z Krawczykiem, wreszcie postanowił zabrać wachmistrza. Upłynęła jeszcze dobra godzina, zanim porucznik przyszedł do swego namiotu, opowiedział o wszystkim Krawczykowi, a następnie obadwaj wsiedli na konie udając do oznaczonego celu.

Olbrzymie stada spłoszonych jeźdźcami kruków z nieznośnym krakaniem unosiło się na chwilę w powietrze, to znowu opadało czarną

chmurą na przerwana ucztę. A żeru było do-
syć, pomimo, że sanitarjusze z pośpiechem grze-
bali trupów, to jednak moc ich leżała jeszcze
w rozmaitych pozach: to po kilkunastu w jed-
nej grupie, tworząc całe pagórki, na których
u wierzchołka leżał niekiedy koń, wywrócony
do góry zeszywniałemi nogami, lub kilka głów
ludzkich z otwartemi ustami, jakoby mówią-
cych: „Przechodniu! uciekaj ztąd, tu nie miej-
sce dla żywych, lecz ołtarz ofiary własni na-
rodów.“

Cisza panowała naokoło, przerywana tyl-
ko krakaniem kruków lub chwilami hasłem
szyldwachów.

„Boże Święty, rzekł sam do siebie wach-
mistrz, a toć to kawałka ziemi niema na tem
polu bitwy, żeby nie była krwią zbryzgana.
Prawdziwie, że Bóg Wielki zsyła ludziom woj-
ny na upamiętanie, ale chyba tylko temu co
walczy, nie zaś temu co spokojnie czyta gazo-
ety lub książki o bitwach, leżąc może pod pie-
rzyną na piecu.“

— „Co tam mruczysz stary?“ — zapytał porucznik przerywając wachmistrzowi dalsze wywody.

— „Mówię, Wasza Mość, że straszno patrzeć na pobitych.

— „Każdy, kto się rodzi, ma przeznaczone jaką śmiercią zginie, odrzekł porucznik. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi.“

— „Prawda, Wasza Mość, prawda, ot wczoraj na własne oczy widziałem, jak jakiś młody oficer pruski natknął się na naszego ułana, i omałom ze śmiechu nie pękł, patrząc na ich walkę. Zrazu nasz chciał go piką pomacać, ale zamiast w oficera, trafił w obłęk jego kulbaki; lanca na pół trzasła, a oficer pęc ułanowi prosto między oczy z pistoletu; a ten tylko kichnął, bo widać oficer z pośpiechu nabijając broń zapomniał włożyć kuli. Porwali tedy za pałasze i dalejże na siebie, aż tu obudwóm klingi u samych rękojeści popękały. Oficer tedy do gardła naszemu sięga! Taka zawzięta była sztuka. Zwalili się z koni na ziemię i nuż

prać sobie pyski, ale nasz miał lepszy charakter w garści i oficer musiał dać drapaka.“

Tymczasem tak rozmawiając podjeżdżali do obozu saskiego; ledwie tylko wjechali w jego terytorjum, zatrzymała ich pikietą prowadzona przez oficera.

—„Hasło!“—ozwał się pierwszy sas.

—„Jadę nie po służbie, lecz z interesem osobistym, przeto nie wiem, ani jakie hasło, ani jaki odzew,“ odrzekł Leszczyński.

—„Ano, jak tak, to w takim razie aresztuję“—odezwał się znowu kiepską francuszczyzną oficer saski.

—„Wszystko mi jedno, aresztuj pan czy niearesztuj, ja i tak od dziś wasz się liczę. Przyjechałem prosić waszego naczelnego wodza, aby mnie przyjął do swych szeregów, boć u nas nie ma już co robić: żołdu nie płacą, a w końcu może przyjdzie się o zebrany chleb do Warszawy wracać.“

—„Przyjmą pana, rzekł nieco łagodniejszym tonem sas, bo u nas brak jest oficerów.“

A to kto ten żołnierz co z panem jedzie?”

—„To nie żołnierz tylko wachmistrz, on także chce przejść pod wasze skrzydła.“

Tu porucznik zwrócił się po polsku do Krawczyka.

—„Nio prawda żebyś chciał służyć panom sasom!“

—„O mój Boże, aż się trociny z nosa posypią.“

—„Co on mówi?“—zapytuje sas.

—„Mówi właśnie, że z przyjemnością będzie wam służył.“

—„I taki też przyda się,“ rzekł dalej oficer szyldwachu.

—„No więc, panie poruczniku saski, podajmy sobie bratnią dłoń.“

—„Zgoda podchwycił oficer, a teraz chodźmy do mojej kwatery, która stąd jest niedaleko, ot w tej wiosce, ciągnął dalej, którą widać na górze, będziemy mogli pogawędzić, bo służba na dzisiaj, już mi się skończyła.“

—„Dobra nasza,—szepnął sam do siebie

Leszczyński—pięknie się składa.“

W chwilę później wjeżdżając do wsi, przyszło porucznikowi na myśl, żeby czasami sami chcąc im się przysłużyć nie zaprowadzili mu koni do swej stajni, z której na wypadek ucieczki trudno byłoby je wydobyć, przeto kazawszy konie niby wpierv napoić, mrugnął na Krawczyka, a temu nie potrzeba było słowami dać do zrozumienia. Leszczyński porozumiawszy się tym sposobem z wachmistrzem, wszedł do kwatery porucznika, a Krawczyk zamiast z końmi do rzeki, wprowadził je do obok stojącej zagrody chłopskiej, tłumacząc gospodarzowi, że sam komendant placu tu mu kwaterować wyznaczył. Tymczasem do mieszkania oficera saskiego weszło kilku jego kolegów, zaczęła się pijatyka, oraz wesoła gawęda, z której Leszczyński dowiedział się, że tegoż samego dnia została ogłoszona po wszystkich wojskach saskich wiadomość o odstąpieniu Napoleona, której treść miał spisana prawie każdy oficer.

Dowiedział się również, że liczne rezerwy Bernadotta i Blüchera ściągnęły także tegoż dnia do obozu saskiego, i mają być jedynie zwrócone do ataku na korpus polski. Gdy taka wesołość panuje, jeden z sasów podaje do ogólnej wiadomości podchmielonym towarzyszom, że dnia tego miał szczęście zatrzymać kilka sióstr miłosierdzia, dążących do obozu austriackiego, a jak się później okazało do polskiego.

Jest pomiędzy niemi, ciągnął dalej opowiadanie, kilka ładnych i młodych, szczególnie jedna szatynka z niebieskimi, jak chaber, oczami.

—„Boże drogi!—rzekł sam do siebie Leszczyński—może to Zofja?“

Jakieś dziwne uczucie szarpnęło nim. „Muszę ją wydostać stamtąd,“ szepnął do siebie.

Pijąc tylko dla pozoru zupełnie był trzeźwym, zdawał więc sobie sprawę z tej strasznej nowiny. Cała nawała myśli napływała mu do mózgu, rozumiał doskonale, że podczas wojny

różne dzieją się rzeczy, dopuszczał więc sobie do głowy gwałty nad opuszczoną dziewczyną i wprost rzeczy straszne.

— „E jakoś nam kolega posmutniał,“ — rzekł jeden z obecnych oficerów.

— „Nie posmutniałem, jeno ciekawy jestem, co też zrobią z temi siostrami miłosierdzia?“

— „A z nimi! — podchwycił ten właśnie, który przed chwilą opowiadał o tej wiadomości — one są teraz w kwaterze naszego generała pod silną strażą, gdyż posądzają je także o szpiegostwo.“

Niebawem, z dalszej rozmowy Leszczyński dowiedział się, gdzie właściwie znajduje się ta kwatera generała saskiego, poczem rzekł do obecnych:

— „Przepraszam bardzo szanownych kolegów, lecz tak duszno w izbie, że muszę wyjść ochłodzić się.“

— „O! samego nie puścimy, choć drogi nam jesteś gościem, ale co służba, to służba, — rzekł gospodarz kwatery. — Ja pana tu sprowadziłem, ja też nie aresztuję, ale pilnować będę,

aż ostatecznie złożysz przysięgę na wierną służbę Fryderykowi Augustowi, naszemu królowi.“

— „Już składałem kolego.“

— „Tak jest, nie przeczę, odrzekł sas — lecz w Polsce, teraz zaś złożysz ją w Saksonji, jeśli twe chęci są szczerze.“

— „Dobrze, — rzekł Leszczyński — wędchodźmy razem, tylko się nie gniewajmy, bo na towarzyszy broni to nieładnie.“

Tu Leszczyński udając pijanego objął za szyję sasa, poczem obadwaj wyszli na podwórze.

Na dworze była już noc ciemna, choć okowykol. Ledwo wyszli tylko z domu Leszczyński rzucił się jednym susem na swego towarzysza, następnie zerwawszy mu z szyi szal jedwabny, który oficerowie sascy nosili jako ozdobę munduru, zakneblował mu usta. Robota ta nie była trudną, gdyż sas był dobrze podchmielony, następnie wciągnawszy go do niewielkiego ogródka, szepnął mu do ucha:

— „Mógłbym cię życia pozbawić, ale tego

oficer polski nie potrafi, jak również nie będzie bił jednego, a jutro jemu służył; bywaj więc zdrów, a bacz, że jak mi wleziesz w oko podczas bitwy, to się inaczej z tobą rozprawię.“

To mówiąc wyciągnął mu z zanadza odezwę, dotyczącą zdrady sasów, a którą każdy oficer w dniu tym obowiązany był mieć przy sobie.

Nie tracąc chwili, przypadł Leszczyński do miejsca, gdzie oczekiwał go Krawczyk, poczem obadwaj dosiadłszy koni, skierowali się w stronę obozu polskiego i znikli w ciemnościach nocy.



XIX.

Wielką przysługę wyświadczyła armji polskiej wiadomość, którą Leszczyński przywiózł ks. Poniatowskiemu. Niebawem też usunięto straszne niebezpieczeństwo zupełnej zagłady korpusu polskiego, zmieniając natychmiast dotychczasową jego pozycję.

18-go października, o 8-mej z rana, prusacy całą swą potęgą uderzyli na korpus ks. Józefa; w bitwie tej przypadało po 14 prusaków na jednego Polaka.

Niestrudzony wódz polski zrywa się ostatnimi prawie siłami, staje osobiście na czele dywizji Krasińskiego, prowadzi ją w bój na

śmierć lub życie, i po raz ostatni okrywa się sławą ku podziwowi nieprzyjaciół, a nawet cesarza Aleksandra, śledzącego z pagórka za przebiegiem bitwy.

Wieczorem tegoż dnia wojsko francuskie pobite na wszystkich punktach; Napoleon rozkazuje odwrót. Straszna klęska w postaci anioła niszczyciela, szybko teraz skierowała swe kroki ku Wielkiej Armji cesarza francuzów.

Przez wezbraną Plejssę rzucono 8 mostów, na które skierowały się wojska francuskie do przeprawy na brzeg przeciwny.

Gdy wre jeszcze gdzieś zażarta walka, gdy ks. Józef, z dzielnym swym korpusem, zamykając tył armji francuskiej broni ją od ostatecznego pogromu, tam, hen na drugiej stronie terenu bitwy, gdzie stoi wioska, w której mieści się kwatery naczelnego wodza sasów, widać, jak w jednym z pokojów 6 sióstr miłosierdzia klęczy, odmawiając modlitwę za konających.

Wtem huk ogłuszający przerwał im dalsze

wyraży modlitwy. — To granat francuski, czy polski pękł gdzieś bardzo blisko.

— „A Słowo Ciałem się stało!“ — wyszeptała przełożona, matka Teresa.

— „Zofjo! zapal światło przed Najświętszą Panną, — rzekła zwracając się do młodego jakiegoś dziewczęcia, widocznie nowicjuszki, która natychmiast wstała ze swego miejsca, by ustawić świecę przed ołtarzykiem składanym.

Zaledwie siostry uklęknęły powtórnie do przerwanej modlitwy, straszliwy huk powtórzył się, tym razem granat pękł na podwórzu, kładąc kilku żołnierzy saskich trupem, tłukąc szyby w oknach domostwa i zapalając przyległą stodołę.

Wystraszone szarytki przypadły do swego ołtarzyka szukając schronienia, z podniesionemi do nieba rękoma, powtarzały za przełożoną słowa:

— „O Boże, Boże Wielki, odwróć nieszczęście wojny i zlituj się nad krajem polskim.“

Tymczasem stodoła zajęła się jasnym pło-

mieniem, odbijając się jaskrawo na tle szarego wieczoru.

Silna warta, złożona z kilkudziesięciu ludzi strzegła kwatery generała, którego podówczas nie było w domu, gdyż znajdował się gdzieś dalej na placu bitwy, a wsi tej bronił cały pułk piechoty saskiej.

— „Boże drogi, — rzekła jedna z kobiet, — jeśli nie zginę tu w płomieniach, to z rąk tego okrutnika, który postanowił, jak wyrażał się jego służący, shańbić mnie na całe życie.“

— „Ufaj w Boga Zofjo, — rzekła dobrotliwie matka Teresa, — wyroki Jego są niezbadane.“

Ledwie to wyrzekła, powstał raptowny krzyk i salwy karabinów.

Krzyk „bij psubratów!“ zbliżał się coraz bardziej, aż nareszcie usłyszano go na podwórzu.

— „Polacy! — krzyknęła ucieszona matka Teresa, — słyszę ich słowa!“ — I rzeczywiście, gdy ustąpiły drzwi, wyrzucone z zawias, a pro-

wadzące do pokoju szarytek, na progu stanęła czarna od dymu i błotem zbryzgana postać Leśzczyńskiego. Krew broczyła mu się z głowy, rękę trzymał na temblaku. Stał tak chwilę nie mogąc słowa przemówić; ranę widać w głowę otrzymał przed chwilą, a ta była śmiertelną.

Zofja skoczyła ku niemu z okrzykiem „Zdzisiu! Zdzisiu!“, ale on nie odpowiadał, stał tylko chwilę oparty o futrynę, poczem stoczył się i runął trupem na podłogę.

Zofja załamała ręce, podeszła do matki Teresy ze słowami: „Oto ostatnie siły poświęciłam by ujrzeć raz jeszcze w życiu drogiego narzeczonego i dostałam w nagrodę trupa.“ Słowa te wymówiła z jakąś dziwną skargą, z jakimś konwulsyjnym skrzywieniem ust.

W parę minut potem wpadł Krawczyk do tego pokoju.

— „Boże! — ryknął na cały głos stary, zobaczywszy leżącego porucznika, a wołając po

dwakroć — „Wasza Mość! Wody! dobre siostry wody! może jeszcze docucimy go!”—błagał wachmistrz, lecz po chwili zobaczywszy ranę na głowie, doświadczony wojak rzekł: „Koniec! Oto i nagroda, oto los żołnierski na wojnie.“

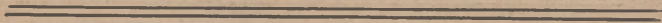
—„Zbierajcie się czcigodne siostry w drogę,—rzekł dalej Krawczyk—jedziemy do obozu polskiego; nieprzyjaciela niema już blisko. A ty panienko ocknij się,—przemówił, zwracając się do osłupiałej jeszcze Zofji;—taka była wola Boża, tego nikt nie wróci.“

Tu krzyknął na stojących za drzwiami ułanów: „Bywaj!“ „Zabrać pana porucznika—rzekł dalej do wchodzących,—tylko prędzej! niech jeden weźmie przed siebie na konia nieboszczyka, bo tu go przecież zostawić nie można.“

Niedługo potem wszyscy stanęli w polskim obozie, gdzie niezwłocznie przystąpiono do pogrzebu Leszczyńskiego.

Stary wachmistrz krzyż wystrugał, ksiądz kapelan ciało poświęcił, a Zofja zostawiła tu

lzę żalu, rozdzierającego niewinne jej serce.
Widywano ją później jeszcze, ale już w habi-
cie zakonnym.





XX.

Tymczasem skończyła się smutna noc 18-go i smutny również wstał poranek 19-go października.

Ks. Józef na czele szczupłej eskorty kira-

sjerów i krakusów, broniąc się zapamiętało w odwrocie Wielkiej Armji, przedostaje się na błotniste i w części zalane wylewami Plejssy ogrody, i tu trzeci raz odbiera ranę w chorą już rękę; zostaje jednak na koniu. Małachowski i Grabowski generałowie proszą go by się poddał, oszczędził życia dla kraju, lecz dzielny książę na wpół już przytomny odpowiada tylko „trzeba umrzeć mężnie“.

Nagle francuzi wysadzają most, zadowoleni, że sami już są na drugiej stronie bezpieczni. Widzi to jeszcze Poniatowski i rzuca się wpław z koniem w Plejssę, lecz niezdolny nim kierować, porwany prądem, o mało, że nie tonie. Ratuje księcia oficer francuski Blechamp, lecz za ledwie wydarł go spienionym falam, wódz nasz drogi zostaje jeszcze raz ranny kulą karabinową w bok prawy; pada w objęcia oficerów, lecz po chwili odzyskuje przytomność, dosiada powtórnie konia, a brocząc krwią mówi niezwięzłe zdania, z których tylko można było odróżnić słowa:

„Polska, — honor!“

W takim stanie podjeżdża nad brzeg drugiej rzeki Elstery. Nagle zobaczywszy nadciągającego nieprzyjaciela rzuca się w tą rzekę, odbiera ostatnią kulę w lewą pierś i po krótkim pasowaniu się ze śmiercią, ginie zakryty jej falami.

Następne miesiące listopad i grudzień 1813 roku, były już tylko świadkami dalszego pościgu sprzymierzonej Europy za wielką, jako nazwisko, a w rzeczywistości nieliczną resztką armji Napoleona.

Wojsko polskie częścią wróciło do kraju, a w części poszło towarzyszyć jeszcze Napoleonowi, aż za Ren—pod Paryż.

Oto są te smutne dzieje wojska polskiego w 1813 roku.



24-

586399 / 268K2





Biblioteka

63301/2

Naukowa